

Janice
Lynn

Zaczęło się w święta



Janice Lynn

Zaczeło się w święta

Tłumaczenie:
Anna Bieńkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Patrz, ten przystojniak puścił do ciebie oko. Znasz go?

Słyszając pytanie przyjaciółki, doktor McKenzie Sanders spojrzała na scenę, na której właśnie pojawił się mężczyzna prowadzący imprezę.

- To on.

- To ten osławiony doktor Lance Spencer? - w głosie siedzącej obok niej Cecylii zabrzmiało niedowierzanie.

Nic dziwnego. McKenzie zdążyła wiele się o nim nasłuchać. Lance nie tylko leczył ludzi, ale wspierał wszelkie lokalne akcje dobroczynne i był świetnym organizatorem. Jednak nie spodziewała się, że widowisko będzie tak sprawnie przygotowane, również pod względem choreograficznym. Z drugiej strony, znając Lance'a, nie powinna się dziwić. Idealnie wszystko z sobą zgrał, doprowadził do perfekcji. Jak wszystko, za co się wziął.

Ostatnio to ją miał na celowniku.

Zastanawiała się, co go do tego skłoniło. Może zmęczenie panienkami, które chciały go złowić i doprowadzić do ołtarza? Sama była jak najdalej od takich pomysłów, nie chciała się wiązać. Już dawno stwierdziła, że małżeństwo nie jest dla niej, nie zamierzała wychodzić za mąż. Lance doskonale znał jej podejście. Nie ukrywała, że chce czerpać z życia garściami i nie da się zaobrączkować.

Lance, po dramatycznym rozstaniu z ostatnią dziewczyną, której jasno powiedział, że nie zamierza się oświadczyć, najwyraźniej postanowił chwilowo dać sobie spokój z wysokimi blondynkami zawziętymi dążącymi do ślubu i wesela. Zamiast tego zaczął uganiać się za drobnymi brunetkami, które dostawały wysypki na samą wzmiankę o ślubie. A to przez nieszczęsne, zakończone rozwodem małżeństwo rodziców.

Czyli za nią.

Wprawdzie przyjęła jego zaproszenie na dzisiejszy wieczór

i pojawiła się z przyjaciółką, jednak z założenia trzymała się od Lance'a z daleka i nie miała zamiaru dać mu się „złapać”. Nie chciała wchodzić w inne niż zawodowe relacje, wykraczać poza niezobowiązujące koleżeństwo. Tego też nauczyła się od rodziców – to zasługa taty, który uwodził każdą współpracownicę. Na szczęście jest inna niż rodzice.

Ale Lance'owi nic nie brakuje.

Zwłaszcza w tym eleganckim stroju i cylindrze.

Niesamowicie seksowny. Po prostu ten typ tak ma. Od razu masz ochotę odstawić lukrowane ciastka i zrobić kilka brzuszków, w razie gdyby kiedykolwiek miał ujrzeć cię nago. Właśnie od takich mężczyzn starała się trzymać jak najdalej. Jest wolnym duchem i nie zamierza zmieniać się dla faceta. Jeśli będzie miała ochotę, zje ciastko, a nawet dwa, i to z dodatkowym lukrem.

Widziała, jak daleko potrafią posunąć się kobiety, by przypodobać się mężczyźnie; obserwowała, co robiła jej własna matka. Co z tego, skoro nic nie trwało wiecznie, mężczyźni tracili zainteresowanie, a kobiety zostawały ze złamanym sercem i brakiem wiary w siebie.

Obiecała sobie, że nigdy nie ulegnie takiej pokusie, nigdy nie wejdzie w relację, która skłoni ją do sprzeniewierzenia się samej sobie. Wdawała się w niezobowiązujące romanse, żyła pełnią życia, było jej z tym dobrze. Gdy jakiś układ zaczynał się komplikować, odpuszczała i szła do przodu. Zawsze znajdował się ktoś następny.

Pod tym względem ona i Lance mieli z sobą wiele wspólnego. Z jednym wyjątkiem: Lance pielęgnował swoje relacje miesiącami, ona nigdy dłużej niż kilka tygodni. Bo jeśli układ trwał dłużej, druga strona mogła robić sobie niepotrzebne nadzieje.

Mogłaby zamarzyć o domu z ogródkiem, rodzinnym samochodem, gromadce dzieci i mężu, który szybko by się nią znudził i zaczął flirtować z sekretarką, terapeutką, księgową, żoną współnika, nauczycielką swych pociech... Kto wie, z kim jeszcze ojciec zdradzał mamę?

Mężczyźni zdradzają. Taka jest smutna rzeczywistość.

Rzecz jasna, zdarzają się porządni faceci, ale to jak szukanie

igły w stogu siana.

Nie zmieni się dla mężczyzny i nie da się zwodzić. Nie będzie kurą domową. Co to, to nie. Chce cieszyć się życiem, korzystać z niego i nigdy nie stać się taka jak jej mama... czy ojciec, który nie był w stanie dochować wierności, a jednak wyraźnie potrzebna mu była żona, bo po rozwodzie z mamą jeszcze cztery razy składał małżeńską przysięgę.

Dlaczego więc odmówiła Lance'owi, gdy chciał się z nią umówić?

Oczywiście pracują razem, a dla niej to zawsze wykluczało bliższe relacje, zwłaszcza że stale miała w pamięci biurowe romanse ojca. Z drugiej strony układ z Lance'em byłby zupełnie inny. Ona lubi się zabawić, on też. Z tego względu świetnie do siebie pasują. Przyjaźnią się, kilka razy wychodzili gdzieś z grupą znajomych czy zjadali szybki posiłek w szpitalnym bufecie. Nawet gdy miała trudny dzień, Lance potrafił ją rozchmurzyć. Jednak perspektywa randki budziła w niej odruch obronny. Natychmiast się wycofywała.

- Odebrało ci mowę na jego widok? - zapytała Cecilia.

Dopiero teraz McKenzie uświadomiła sobie, że nie odpowiedziała na pytanie. Ani nie dotarły do niej słowa Lance'a.

- Przepraszam, trochę się rozproszyłam - wykrztusiła, nie odrywając oczu od Lance'a.

- Widzę - cicho zaśmiała się przyjaciółka. McKenzie czuła na sobie jej przenikliwe spojrzenie. Nie odwróciła się, ale czuła przez skórę, że w brązowych oczach Cecylii maluje się rozbawienie. - On jest boski, aż dostaję gorączki. Chyba będę potrzebować fachowej pomocy. Od czego jest specjalistą?

- Dobrze wiesz, że jest internistą. Przecież pracuję z nim - odparowała, nie odrywając oczu od Lance'a zapowiadającego pierwszą część występu.

Z zachwytem obserwowała jego płynne ruchy, rozjaśnioną uśmiechem twarz, dołeczki w policzkach, błysk w niebieskich oczach. Wyglądał jak znakomity aktor. Jest doskonałym lekarzem. Co jeszcze potrafi?

Wyobraźnia podsuwała jej różne obrazy.

- Boże Narodzenie to czas prezentów. On byłby fantastycz-

nym prezentem, co? - droczyła się Cecilia, szturchając ją w bok.

McKenzie prychnęła i przewróciła oczami.

- Myślisz bardzo jednotorowo.

- Ty też, choć zazwyczaj nie chodzi o facetów. Nadal chcesz biec jutro w maratonie?

Ruch dawał jej siłę. Biegała codziennie skoro świt. To rozjaśniało myśli. Przygotowywało do kolejnego dnia. Biegnąc, była o krok przez mężczyznę, który próbował wkraść się do jej sypialni. Uciekała.

Dosłownie i w przenośni.

Nie dlatego, że była cnotką. Dawno straciła niewinność. Ale to ona decydowała, kto może jej dotknąć.

Mimowolnie jej myśli poszybowały tu temu, który teraz czarował widownię uśmiechem i urokiem.

Chciał dotknąć jej ciała. Nie powiedział tego na głos, ale wiedziała to w jego oczach. Patrzył na nią jak ktoś, kto nie może się przed tym powstrzymać. Przełknęła ślinę, odepchnęła od siebie natrętne myśli.

Rzęsiste brawa nagradzały kolejne występy. Lance zapowiedział następny i na scenę wyszły trzy śpiewające panie. Po nich nadeszła pora na kolędy. Wykonawcy opuścili scenę i chodzili wśród stolików. Lance pozostał na scenie, McKenzie miała go na wprost. Ich spojrzenia się spotkały i Lance się uśmiechnął. Pięknie, przyłapał ją, jak się na niego gapi. Ale czy nie po to ją tu zaprosił?

Chciał, żeby się na niego gapiła.

Zamrugła. Do diabła, przecież nie chciała tego robić. Tylko że... chciała. Chciała...

Cecilia szturchnęła ją łokciem.

- Au. - Potarła ramię. Przyjaciółka nie rozszyfrowała jej myśli. Bo wtedy by przybiła z nią piątkę.

- Chciałam się upewnić, że widzisz to samo. On nie może odebrać od ciebie oczu.

- Nie jestem ślepa - mruknęła, masując bolące ramię.

- Jak zobaczyłam doktora Spencera, o którym tyle od ciebie słyszałam, zaczynam myśleć, że może jesteś ślepa. Kiedy ostat-

ni raz badałaś wzrok?

- Ha, ha, bardzo śmieszne. Dobry wygląd to nie wszystko. - Lance był atrakcyjny i jej ciało mimowolnie na niego reagowało. Lubiła z nim pracować. Gdyby zaczęli się spotykać, jak nic wyładowałiby w łóżku. I co wtedy? Na dłuższą metę nic by z tego nie wyszło, za to relacje zawodowe by się skomplikowały. Warto ryzykować dla kilku tygodni z seksownym doktorem?

Przesunęła po nim wzrokiem. Hm, może i warto...

- Owszem - przyznała Cecilia. - Całą noc mogłabym słuchać tego głosu. Jestem chętna, możesz mnie zapisać.

- Jesz mu z ręki, jak ta cała reszta, ale to nie znaczy, że mam się z nim umówić.

Twarz Cecylii rozjaśniła się w uśmiechu.

- A ty? Należysz do tych, co jedzą mu z ręki? Bo myślę, że powinnaś. Dosłownie.

Nie należała. Nie chciała. Nie mogła.

- Żartowałam.

- Wiem. - Cecilia popatrzyła na śpiewającego kołędę Lance'a. - Mówię poważnie. To może być właśnie ten jedyny.

- Nie opowiadaj.

Z Cecilią znały się od małego, przyjaźniły się od przedszkola. Zawsze razem, na dobre i na złe. Teraz McKenzie była lekarzem rodzinnym, a Cecilia fryzjerką w salonie Bev's Beauty Boutique. Spełniły swoje marzenia, robiły to, co zawsze chciały robić. Ale Cecilia nadal czekała na księcia z bajki, który przybędzie, porwie ją w ramiona i przeniesie przez próg. Niemądra panienska.

McKenzie była dorosła i mogła sama przestąpić próg. Nie potrzebowała księcia z bajki. Ani go nie chciała.

Przeniosła wzrok na Lance'a. Patrzył w jej stronę. Mogłaby przysiąc, że się do niej uśmiechnął. A może to iskielki w jego oczach tak ją zmyliły. To możliwe.

A może wcześniejsze myśli. Chciał, by na niego patrzyła. Sprawił, że poczuła się niezręcznie. Bardzo niezręcznie.

Pewnie dlatego wciąż mówi mu „nie”.

Jednak dzisiaj tu przyszła. Dlaczego?

- Myślę, że powinnaś pójść za ciosem.

- Co?

- Mówię o doktorze Spencerze. Czyli o człowieku, który tak cię rozprasza.

- Ja z nim pracuję. To by skomplikowało nasze zawodowe relacje.

- Jego zaproszenia już ich nie skomplikowały?

- Nie, bo do niczego nie doszło. - Nie chciała niczego między nimi zmieniać. Starła się zbywać go żartem, traktować jak kolegę z pracy.

Skoro musiała się starać, to być może między nimi już coś się zmieniło?

- To znaczy?

- To znaczy, że nie traktuję jego zaproszeń serio.

- On patrzy na ciebie, jakby traktował cię poważnie.

To spojrzenie. Rozkosznie wprawiające w dziwny niepokój.

- Możliwe.

- Mówię ci.

Nagle przestał na nią patrzeć.

Biegiem rzucił się w stronę stolików. Chwycił od tyłu poczerwieniałego, trzymającego się za szyję mężczyznę. Wszyscy przy stoliku poderwali się na równe nogi, ale wyraźnie nie mieli pojęcia, co robić.

McKenzie zareagowała instynktownie. Chwyciła torebkę i telefon, wybrała numer pogotowia i pobiegła do Lance'a, który uciskał przeponę mężczyzny. Bez efektu. Oczy mężczyzny niemal wyszły na wierzch. Stojąca obok niego kobieta była na granicy hysterii. Koledzy przestali śpiewać i oczy wszystkich skupiły się na Lance, jakby zebrani próbowali pojąć, co się dzieje. I wstrzymali oddech, gdy uświadomili sobie, że człowiek się dusi.

Nie mogli czekać na przybycie ratowników, nie mieli czasu. Musieli wydobyć z dróg oddechowych mężczyzny to, co utknęło mu w gardle.

Lance wykonywał chwyt Heimlicha, starając się mocnym naciskiem na przeponę sprężyć powietrze w drogach oddechowych mężczyzny, by je odblokować, „wypychając” obce ciało z tchawicy. Robił to z taką siłą, że pewnie kilka żeber już pękło.

Jeśli nie udrożnią dróg oddechowych, to połamane żebra nie

mają znaczenia. Mężczyzna już zaczął sinieć i lada moment straci przytomność.

- Musimy otworzyć mu drogi oddechowe - oznajmił Lance. Dokładnie to samo pomyślała. I modlić się, żeby nam się powiodło, dodała w duchu.

Popatrzyła na stół, wybrała nóż, który wydawał się najostrzejszy. Skrzywiła się na widok ząbkowanego ostrza. Cóż, wykorzysta go, jeśli nie ma wyboru. Na szczęście w torebce miała szwajcarski scyzoryk, który przed laty dostała od dziadka. Ostry jak skalpel i do tego zabiegu o niebo lepszy od noża do steków. Wyrzuciła na stół zawartość torebki, chwyciła klucze i długopis.

Mężczyzna stracił przytomność. Lance bezskutecznie próbował usunąć jedzenie, które tkwiło w przełyku. McKenzie rozkręciła długopis, przedmuchała oprawkę.

Lance ułożył nieprzytomnego na podłodze.

- Ma tętno? - zapytała, klękając przy leżącym.

- Niezależnie od tego, czy ma, czy nie, zrobię mu RKO. Może uda się go udrożnić.

Czasami utrata przytomności wpływała na mięśnie; rozluźniały się i podczas resuscytacji krążeniowo- oddechowej udawało się uwolnić obce ciało blokujące przepływ powietrza. W każdym razie warto spróbować.

Niestety ten sposób nie przyniósł poprawy. Upływający czas działał na niekorzyść. Zazwyczaj decydowały cztery minuty. Bez dopływu tlenu mózg zostanie bezpowrotnie uszkodzony. Jeśli w ogóle uda się utrzymać człowieka przy życiu. McKenzie odchyliła do tyłu głowę pacjenta. Lance z całej siły uciskał klatkę piersiową mężczyzny, robiąc mu masaż serca. Minęło kilka sekund i nic. Czyli nie ma wyjścia, nie obejdzie się bez konikotomii. McKenzie wyciągnęła scyzoryk.

- Ja to zrobię - zaproponował Lance.

Nie odpowiedziała. Odszukała wgłębienie między jabłkiem Adama a chrząstką pierścieniową i wykonała niewielkie poziome cięcie. Rozległy się przerażone okrzyki i szlochy, lecz nie zwracała na nie uwagi. Całkowicie się wyłączyła, maksymalnie koncentrując się na ratowaniu życia mężczyźnie.

Spróbowała rozewrzeć naciętą skórę, lecz mężczyzna nie na-

leżał do szczupłych, więc nie było to proste. Musiała wepchnąć palec, by zrobić otwór. Gdy to się jej udało, wsunęła do środka tulejkę długopisu, by w ten sposób zrobić wlot powietrza, i wykonała dwa wydechy.

- Dobra robota - pochwalił Lance, gdy klatka mężczyzny leciutko zafalowała. - Serce bije.

Odetchnęła. Najgorsze zagrożenie minęło. Odczekała kilka sekund, znowu zrobiła kilka wydechów. Wreszcie wyprostowała się.

- Doktor Sanders utworzyła panu sztuczną drogę oddechową - wyjaśniał Lance. - Ratownicy już jadą. Nic złego panu nie grozi.

Mężczyzna oddychał samodzielnie. Przez rurkę od długopisu. McKenzie patrzyła, jak jego pierś podnosi się i opada. Spłynęła na nią ogromna ulga.

Na twarzy mężczyzny odmalowała się panika. Usiadł. Lance podtrzymał go i złapał za rękę, gdy ten sięgnął do rurki wystającej z szyi.

- Proszę nie ruszać - uprzedził. - Dzięki rurce dostaje pan tlen. Jeśli pan ją wyjmie, będziemy musieli znowu ją umieścić, żeby mógł pan oddychać.

- Nic mu nie będzie? - denerwowała się dobrze ubrana, zadbaną pani dobrze po pięćdziesiątce. Klęczała tuż przy McKenzie. Trzęsa się z niepokoju.

- Raczej nie. - McKenzie popatrzyła na przerażonego mężczyznę. - Nadal ma pan zablokowane drogi oddechowe. Zaraz zabiorą pana do szpitala i chirurg zdecyduje, jak w optymalny sposób usunąć to, co pana dławi.

Mężczyzna był oszołomiony. Przesunął dłonią po szyi mokrej od krwi.

- Chirurg udroźni drogi oddechowe, zszyje ranę i po nacięciu zostaje prawie niewidoczna blizna - zapewniła.

Mężczyzna odrobinę się uspokoił. Przesunął wzrok na jej zakrwawione palce. No tak, powinna je umyć.

- Idź do łazienki - rzekł Lance, jakby czytał w jej myślach. - Zostanę przy nim do przybycia ratowników.

Jeszcze raz popatrzyła na pacjenta, kiwnęła głową i wstała.

Cecilia szła tuż za nią. Zabrała torebkę i jej rzeczy.

- O Boże. Nie mogę uwierzyć, że to się działo naprawdę. Byłaś niesamowita.

McKenzie popatrzyła na rozgorączkowaną przyjaciółkę.

- Nie tak wyobrażamy sobie gwiazdkową imprezę.

- Ty i doktor Spencer byliście wspaniali!

McKenzie wzruszyła ramionami.

- Wykonywaliśmy swoją pracę.

- Nie byliście tutaj służbowo.

- To nie znaczy, że mieliśmy spokojnie patrzeć, jak ktoś dusi się na naszych oczach.

- Wiem, chodziło mi o to, że... - Cecilia umilkła. Gdy weszły do łazienki, odkręciła wodę, by McKenzie nie musiała niczego dotykać zakrwawionymi rękami.

- To naprawdę nic takiego. - McKenzie starannie spłukiwała dłonie, nie załując sobie dezynfekującego mydła. Na koniec dokładnie umyła scyzoryk. Później wyczyści go spirytusem, może na wszelki wypadek jeszcze wysterylizuje w pracy.

Cecilii nie zamykały się usta. Jeszcze nie ochłonęła po tym, co przed chwilą widziała. Z emfazą zapewniała, że omal nie zemdlała, kiedy McKenzie przecięła skórę na szyi nieprzytomnego.

Gdy wróciły do sali, ratownicy już byli. Mężczyzna nie mógł mówić i odpowiadał jedynie ruchami głowy. Jego stan wyraźnie się poprawił. Ratownicy ułożyli go na noszach i wynieśli. Lance szedł tuż za nimi, zdając dokładną relację. McKenzie dołączyła do niego.

- Doktor Sanders uratowała mu życie - powiedział w końcu Lance.

Równie dobrze sam mógł to zrobić. W sumie to nie było nic takiego.

Ratownicy wyrazili szczerze uznanie dla jej wysiłków. McKenzie pozostawiła komplementy bez komentarza. W końcu to jej praca, do tego została wyszkolona.

- Też musisz pojechać do szpitala - przypomniał jej Lance.

Popatrzyła na niego i spochmurniała. Owszem, myślała o tym, myjąc ręce. Kontakt z krwią zawsze stanowi zagrożenie. Wiel-

kie zagrożenie.

- Wiem. Pojadę z Cecilią. Poproszę, żeby mnie zawiozła, chyba że weźmiecie mnie do karetki. - Z nadzieją popatrzyła na ratowników.

- Ja cię zawiozę - szybko rzekł Lance.

Właśnie tego się obawiała. Im mniej będzie z nim sam na sam, tym lepiej. Zmarszczyła brwi.

- Też się ubrudziłeś krwią?

Nie odpowiedział, odwrócił się do ratowników.

- Zawiozę ją do szpitala na badania.

Gdy trzeba ratować ludzkie życie, nie ma czasu, żeby zastanawiać się nad ewentualnymi konsekwencjami. Dopiero potem przychodzi na to pora.

Postąpiła jak trzeba, uratowała człowieka. Jednak teraz sama może ucierpieć, jej życie może na zawsze się zmienić. Wszystko zależy od stanu zdrowia tego mężczyzny.

Nie miała na rękach żadnych skaleczeń czy rozcięć, ale wystarczy najmniejszy mikrouraz, żeby jej organizm znalazł się w niebezpieczeństwie.

Nie ma wyjścia. Musi zrobić badanie krwi.

- Cecilia mnie zawiezie - powtórzyła.

Nie chciała zostać z nim sam na sam. A jeszcze bardziej nie chciała, żeby był przy niej, gdy będą pobierać jej krew. Ten zabieg był dla niej koszmarem.

Nie wzruszał jej widok czyjejś krwi, a nawet jej własnej. To igła wywoływała w niej irracjonalny lęk. Na samą myśl o tym, że jej ostrze znajdzie się w pobliżu jej skóry, dostawała ataku paniki, choć nie miała żadnego problemu, gdy wbijała igłę w ciało pacjenta. Wtedy była spokojna i opanowana.

Nie chciała, by Lance dowiedział się o jej belonefobii. Po co ma wiedzieć, że panicznie reaguje na widok igły?

Błagalnie spojrzała na przyjaciółkę, licząc, że ta pośpieszy jej z odsieczą, lecz Cecilia, radośnie rozpromieniona, uścisnęła ją na pożegnanie, wymawiając się, że chce zamienić z kimś słowo, a potem wraca do domu. Kilka innych osób też zaczęło się zbierać do wyjścia.

- Ja i tak jadę do szpitala, więc nie ma sensu, żeby angażować

jeszcze kogoś.

- Ale... - Urwała. Zaczyna być śmieszna. Musi się wziąć w garść, nie wpadać w histerię. Prędzej czy później Lance i tak usłyszy o jej fobii. - Dobrze, ale czy nie musisz zostać do końca programu?

Popatrzył na scenę.

- W zasadzie zrobiłem swoje, pozostało mi tylko podziękować gościom za przybycie. Nie jestem dłużej potrzebny, dadzą sobie radę beze mnie. - Spochmurniał nieco. - Chodzi o wielką rzecz i nie chcę, żeby ludziom pozostały przykre wspomnienia, więc nie możemy teraz przerwać. To jedna z naszych najważniejszych imprez charytatywnych.

- Niczyja wina, że człowiek zaczął się dławić. Wszyscy chyba to rozumieją.

- Chyba tak - potaknął, kierując się na parking. - To burmistrz naszego Coopersville, chyba wiesz?

- Burmistrz? - Nie miała o tym pojęcia. Zresztą to bez znaczenia. Zachowałyby się identycznie w stosunku do każdej innej osoby. Stawką było życie.

- Tak. Leo Jones.

- Jest twoim pacjentem? - zapytała, choć nie spodziewała się, że Lance jej odpowie. Dobrze wiedział, dlaczego o to zapytała. Powinna się niepokoić w związku z chorobami, na które cierpi jego pacjent? Może Lance mógłby uciszyć jej obawy?

- Przecież wiesz, że nawet gdyby był, to nic bym ci nie powiedział.

Jasne.

- Ale mogę z ręką na sercu zapewnić cię, że nie mam pojęcia o stanie jego zdrowia. - Otworzył drzwi niskiego sportowego samochodu.

W innych okolicznościach z pewnością by się nim zachwyciła, ale teraz jej myśli były zajęte czymś innym. Możliwymi konsekwencjami kontaktu z czyjąś krwią. I perspektywą pobrania krwi.

Czy to tylko wyobraźnia, czy rzeczywiście oblała się potem? Przecież jest połowa grudnia.

- Dzięki - wyszeptała, zdając sobie sprawę, że postawiła go

w niezręcznej sytuacji. – Domyślam się, że nie dowiem się niczego wcześniej niż za kilka dni.

– Raczej nie. – Przeciągnął dłonią po włosach, na jego twarzy odmalowało się poczucie winy. – To ja powinienem wykonać cięcie.

– Dlaczego? – Popatrzyła na niego skonsternowana.

– Bo wtedy byś się nie denerwowała.

– To był mój wybór.

– Nie powinienem ci na to pozwolić.

– Myślisz, że mógłbyś powstrzymać mnie przed ratowaniem mu życia?

– Nie to miałem na myśli.

– Wiem, o co ci chodzi, i doceniam, ale nie jestem panienką, z którą trzeba się cackać. Zdaję sobie sprawę z ryzyka i świadomie je podejmuję. – Popatrzyła mu w oczy. Chciała, by ją dobrze zrozumiał. – Jeśli będą z tego jakieś konsekwencje, stawię im czoła. Postąpiłam jak trzeba.

– Zgoda, tylko że to ja powinienem wziąć na siebie ryzyko.

– Bo jesteś mężczyzną?

Przez moment rozważał jej pytanie.

– Nie. Bo oboje nie chcemy, żeby przydarzyło ci się coś złego.

W jego głosie zabrzmiała taka szczerłość, że z wrażenia zabiło jej mocniej serce. Wlepiała wzrok w Lance'a.

– Wolałbyś, żeby to stało się tobie?

– Oczywiście.

ROZDZIAŁ DRUGI

Droga do szpitala mijała w milczeniu. Cóż, trudno. McKenzie najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę.

Zastanawia się nad jego słowami? Albo nad tym, co się dziś zdarzyło? Nad ryzykiem, jakie podjęła?

Gdy spostrzegł, że Leo Jones się zadławił, natychmiast rzucił się na ratunek. Chwył Heimlicha nie przyniósł oczekiwanego skutku. Wielka szkoda, bo wtedy McKenzie nie musiałaby się zadrećzać ewentualnymi konsekwencjami swojej interwencji.

Dlaczego jej nie powstrzymał? To on powinien wykonać zabieg. Wprawdzie wyszedł z taką propozycją, lecz wtedy liczyła się każda sekunda, ratowanie Lea było sprawą życia i śmierci. Musieli się spieszyć, by nie doszło do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu.

McKenzie działała szybko, uratowała człowiekowi życie. Jednak czułby się lepiej, gdyby to on wykonał zabieg i to on niepokoił się teraz o swoją przyszłość.

Skąd takie myśli? Czyżby McKenzie miała rację? Dlatego, że jest mężczyzną, a ona kobietą?

Nawet gdyby nie była, to on powinien wziąć na siebie ryzyko. Jednak McKenzie jest kobietą, więc tym bardziej czuł się winny. Znow, jak niegdyś, zawiódł. W dodatku to on zaprosił McKenzie na imprezę. Przez niego się tam znalazła, przez niego naraziła się na ryzyko. Miał ogromne wyrzuty sumienia. Gdyby mógł cofnąć czas, nie wyszedłby z tym zaproszeniem. Gdyby mógł cofnąć czas, nie zrobiłby bardzo wielu rzeczy.

Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że McKenzie zgodzi się przyjść. Jego wcześniejsze próby spotykały się z uprzejmą, ale zdecydowaną odmową.

Zerknął na nią. Wpatrywała się w okno. Dlaczego dziś przyjęła jego zaproszenie? Nie mogła się oprzeć pokusie, by zobaczyć go na scenie? Wątpił. Zgodziła się przyjść i obejrzeć występ, bo

właściwie nie przyszła z nim.

Jej akceptacja wprawiła go w uniesienie. Sam nie wiedział dlaczego. Ale tak było.

Nie miał pojęcia, jak McKenzie zareaguje, ale wziął ją za rękę, by dodać jej otuchy. Nie cofnęła dłoni, jedynie spojrzała na niego pytająco.

- Będzie dobrze. - Miał nadzieję, że to okaże się prawdą.

- Wiem. Nie chodzi o to.

- A o co?

Pokręciła głową.

- Możesz mi powiedzieć. Zrozumiem. Też miałem kiedyś kontakt z krwią. Wiem, co człowiek czuje, póki nie dowie się, że nic mu nie grozi.

Zapatrzyła się w okno.

- Nie chcę o tym mówić.

- A o czym chcesz?

- Z tobą? - Znów popatrzyła na niego.

Udał, że rozgląda się po wnętrzu samochodu.

- W tej chwili masz tu tylko mnie.

- Wolałabym w ogóle nie rozmawiać.

- Aha.

- Przepraszam. - Westchnęła nerwowo. - Nie chcę być nieuprzejma. Tylko...

- Tylko co?

- Nie znoszę widoku igły. - Mówiła tak cicho, że nie miał pewności, czy dobrze ją usłyszał.

Zaskoczyła go. McKenzie była znakomitą internistką, przed chwilą perfekcyjnie przeprowadziła zabieg.

Gdy jego milczenie się przedłużało, McKenzie gwałtownie cofnęła rękę. Jakby dopiero teraz dotarło do niej, że wciąż trzymał jej dłoń.

- Nie oceniaj mnie.

Nie poznawał jej. Zawsze była spokojna i opanowana. Nawet w trudnej sytuacji nie traciła głowy. Teraz jej chłodny spokój zniknął.

- Nie oceniam. Nic nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.

- Może to nie ja ciebie oceniam.

Nie odpowiedziała.

- Jeśli opacznie rozumiałaś moje milczenie, to przepraszam. Zastanawiałem się, jak to możliwe, skoro jesteś lekarzem. To dosyć dziwne.

- Wiem.

- Jednak bardzo cię porusza.

- Dla mnie to nie jest powód do dumy.

Zaczynało do niego docierać. Wstydziała się słabości, nie chciała się do niej przyznawać. Doskonale to rozumiał, bo sam przed laty zrobił podobnie, by w ogóle funkcjonować. Miał przytłaczające poczucie winy, w pełni zasłużone. Tak jak teraz.

- Wiele osób odczuwa lęk na widok igieł - zapewnił. W pracy stykali się z tym codziennie.

- Ostatnim razem zemdlałam przy pobieraniu krwi. - W jej głosie zabrzmiało samopotępienie.

- To zdarza się wielu ludziom.

- Musiałam wziąć leki uspokajające, żeby opanować panikę i usiąść w fotelu. A i tak zemdlałam.

- To nic wyjątkowego.

- Ale nie w przypadku lekarza, który wysyła pacjentów na takie badania. Jaki dają im przykład?

- Ludzie miewają różne fobie. Nie masz na to wpływu. Nie wybierasz sobie tego.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- Ty jakie masz fobie?

Pytanie zaskoczyło go. Chyba nie miał żadnych prawdziwych fobii. Niektóre rzeczy go przerażały, ale nic nie wytrącało go z równowagi. Z wyjątkiem wspomnień Shelby i bolesnego poczucia winy.

Czy rozpacz i żal mogą być uznane za fobię? Poczucie winy też?

- Śmierć - odparł, choć nie było to całą prawdą.

- Co? - Odwróciła się ku niemu.

Może bardziej poczucie, że został sam, gdy odszedł ktoś, kogo kochał. Kiedy na zawsze odeszła jego ukochana z czasów szkolnych. Milczał.

- Boisz się, że umrzesz.

Lepiej, żeby tak myślała, niż dowiedziała się strasznej prawdy. Wzruszył ramionami.

- Większość ludzi tak ma, w tym czy w innym stopniu. Zresztą z tego powodu nie miewam bezsennych nocy.

W każdym razie nie teraz. Przez kilka pierwszych miesięcy przeżywał koszmar. Dopiero z czasem pogodził się z myślą, że nie miał wpływu na to, co się stało. Powtarzano mu, że to nie była jego wina, lecz nie na wiele to się zdawało. Teraz chciał służyć innym, tak jak robiłaby Shelby, gdyby żyła. Chciał pomagać ludziom i chronić przed popełnianiem tych samych błędów, jakie stały się udziałem dwójki nastolatków w dzień zakończenia szkoły.

- Sama myśl o igłach mnie nie przeraża. - Głos McKenzie przywołał go do rzeczywistości. - Ale denerwuję się, gdy pomyślę, że igła wbija się w moją skórę.

- Czy ten lęk spowodowało coś, co stało się w przeszłości? - zapytał, starając się odepchnąć od siebie myśli o Shelby.

Wjechał na szpitalny parking. Kątem oka zerknął na McKenzie. Pokręciła głową.

- Nic takiego sobie nie przypominam. Zawsze bałam się igieł.

- Studia cię z tego nie wyleczyły?

- Boję się tylko wtedy, kiedy igła jest skierowana w moją stronę.

- Czyli innym je wbijas, a sama się boisz.

- Co rok przechodzę szczepienia, więc nie gadaj.

Zaśmiał się, słysząc jej obronny ton.

- Tylko się z tobą przekomarzam.

- Gdybyś wiedział, jakim stresem jest dla mnie szczepienie przeciwko grypie, tobyś się ze mnie nie nabijał. - Westchnęła. - To jedyny temat, na który nie lubię żartować.

- Tylko ten jeden? - zapytał, zatrzymując samochód i gasząc silnik.

Sięgnęła po torebkę, wzruszyła ramionami.

- Nie zdradzę ci więcej moich sekretów.

- Boisz się, żebym nie poznał twoich słabości?

- Jakich słabości? - obruszyła się, a on się roześmiał.

To była jedna z rzeczy, jakie go w niej pociągały. Potrafiła go rozśmieszyć i rozbawić.

Wysiedli i ruszyli w stronę szpitala. Im byli bliżej oddziału ratunkowego, tym McKenzie szła wolniej.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Bardziej to wykrztusiła, niż powiedziała.

Niepotrzebnie pytał. Przecież widział, jak bardzo zbladła. Bagatelizowała ten swój lęk, jednak wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Ten widok obudził w nim instynkt opiekuńczy. Najchętniej wziąłby ją teraz na ręce i zaniósł do szpitala.

- Zostanę z tobą, kiedy będą ci pobierać krew.

Nie patrząc na niego, pokręciła głową.

- Nie chciałbyś mnie wtedy widzieć.

- Myślisz, że zmienię o tobie zdanie, bo boisz się igły?

- Spodziewam się, że teraz będziesz się ze mnie nabijać, ile wlezie.

Głos jej się łamał. Z trudem powściągnął pokusę, żeby wziąć ją w ramiona.

- Mylisz się. Nie będę żartować sobie z tego, co cię przeraża. Chcę tylko ci pomóc, podtrzymać na duchu.

- Dobrze. - Poddała się, ale nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej. - Wypisz zlecenie i ściągnij kogoś, kto pobierze mi krew. Miejmy nadzieję, że w krwi naszego burmistrza nie było żadnych patogenów.

Też miał taką nadzieję. Jeśli okaże się, że jest inaczej, nie wybaczy sobie, że naraził McKenzie na niebezpieczeństwo. Już ma jedną dziewczynę na sumieniu.

McKenzie odliczyła do dziesięciu, potem zaczęła liczyć wstak. Następnym krokiem było liczenie po hiszpańsku, chociaż po dwóch latach nauki w liceum niewiele z tego pamiętała. Zamknęła oczy i przywoływała miłe wspomnienia. Starła się rozluźnić ramiona, uspokoić dziko bijące serce, zapanować nad oddechem, uciszyć krew szalejącą w żyłach.

Wszystko na nic. Żadna z tych technik nie zadziałała. Wciąż miała spięte mięśnie ramion i szyi, serce waliło jej gwałtownie, oddychała tak nierówno, że brakowało jej powietrza. Jeszcze

chwila, a zerwie się na równe nogi i ucieknie z gabinetu.

Lance siedział obok niej. Powiedział, że burmistrz już jest pod opieką chirurga.

- Chyba zaraz zabiorą go do sali operacyjnej, spróbują usunąć z dróg oddechowych ciało obce i zamknąć nacięcie, jakie mu zrobiłaś.

Niewiele z tego do niej docierało. Kiwnęła głową. Próbowwała skupić się na jego słowach, lecz daremnie. Skóra paliła ją żywym ogniem, uszy płonęły.

- Chirurg pochwalił twoje cięcie. Zostanie tylko ledwie widoczna blizna.

Znowu kiwnęła głową.

- Powiedział też, że nacięłaś dwie główne tętnice, więc do zabiegu włączy się chirurg naczyniowiec. Niestety.

To ją poruszyło. Gwałtownie podniosła wzrok.

- Co takiego? Niemożliwe. Na pewno nie drasnęłam tętnicy, tym bardziej dwóch. Co ty opowiadasz?

- Przepraszam. Wydawało mi się, że myśлами byłaś gdzie indziej. Chciałem przywołać cię do rzeczywistości.

- Nie nacięłam dwóch arterii - powtórzyła.

- Jasne, że nie. Chirurg był dla ciebie pełen uznania. Nic nie mówił o uszkodzonych tętnicach.

- Drań z ciebie.

Nie przejął się jej słowami, jedynie się uśmiechnął.

- Czasami.

- Cały czas.

- Chyba w to nie wierzysz? Mam dobre referencje.

- Od kobiet, z którymi się spotykałeś?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że mam referencje.

- Od kogo?

- Od mojej mamy.

Przewróciła oczami, starając się nie zauważać mężczyzny, który wszedł do gabinetu.

- Powinnaś ją kiedyś poznać - ciągnął Lance, jakby nie miała zaraz zemdleć.

- Piękny strój, doktorze - zaśmiał się przybyły. - Kojarzy się

z pingwinem.

- Dzięki, George. Inicjuję nowy trend.

- Naprawdę niezły. - Przedstawił się McKenzie. - Jestem George, jeśli pani nie dosłyszała.

Widywali się wcześniej w szpitalu, jednak wypytał ją o imię, nazwisko i niezbędne informacje. Zapewne taką ma procedurę. Ona ma swoją. Nie ruszać się z fotela. Zachować spokój. Nie zemdleć. Wciąż mieć te wytyczne w pamięci i nie rzucić się do ucieczki.

Zaciskała i rozluźniała spocone dłonie.

- Spodobasz się jej - mówił Lance, jakby nadal siedzieli tylko we dwoje.

Nie chciała, by ktoś dowiedział się o jej fobii. Dlaczego nie potrafi przemówić sobie do rozsądku, uwierzyć, że wszystko będzie dobrze? Nikt nie umiera od pobrania krwi. Teoretycznie to wiedziała. Jednak logika nie miała nic wspólnego z tym, co działo się z jej ciałem.

- McKenzie?

Podniosła wzrok na Lance'a.

- Umówmy się kiedyś na kolację.

- Nie. - Była zdekoncentrowana, ale nie aż tak.

- Masz inne plany?

- Tak.

- Jeszcze nie powiedziałem, na jaki dzień cię zapraszam. Może chciałem wyciągnąć cię w święta.

- Nie ma znaczenia. Nie wybiorę się z tobą na kolację. Ani teraz, ani później.

- Aha.

- Tego się będę trzymać - skwitowała, z rosnącym przerażeniem patrząc na podchodzącego do niej Georga.

Zdezynfekował gazikiem miejsce na lewej ręce.

- Proszę rozluźnić mięśnie.

Lance podsunął się bliżej.

- McKenzie, musisz rozluźnić mięśnie, żeby mógł się wkłuć.

No właśnie. Dlatego były spięte.

Lance ujął ją za prawą dłoń, uścisnął pokrzepiająco.

- Patrz na mnie.

Uśluchała. Starła się nie odrywać od niego oczu i nie patrzeć, co robi George. Niby proste, tyle że on już przybliżał do niej igłę. Chciała się szarpnąć, zamiast tego z całej siły ścisnęła rękę Lance'a.

Chciała rzucić się do ucieczki, ale jakimś cudem zdołała pozostać na miejscu.

- Patrz na mnie, McKenzie.

Przytrzymał jej spojrzenie. Patrzyła na niego, lecz to niewiele pomagało. Jedyne, o czym mogła myśleć, to George i ta jego cholerna igła. Chyba zaraz zemdleje.

Lance podniósł jej dłoń do swoich ust, pocałował zaciśnięte palce. Spochmurniała.

- A to za co?

- Miałaś ciężki wieczór.

- Nie powinieneś tego robić.

- Owszem, powinienem. Należy ci się pełne uznanie za wszystko, co zrobiłaś.

- Nie wygłupiaj się. Zrobiłam, co powinnam.

- Poczujcie pani ukłucie - ostrzegawczo rzekł George. Rzeczywiście poczuła.

Od razu oblała się potem. Lance znów musnął ustami jej palce. Najwyraźniej sprawiało mu to przyjemność.

- Przestań. - Powinna cofnąć dłoń, ale bała się drgnąć. Ciemniało jej w oczach. - Robi mi się słabo - powiedziała, czując igłę w żyle.

Zacisnęła zęby. Nie poruszyła się. Nie mogła.

- McKenzie, tylko nie odjeżdżaj.

Zerknęła w dół. George sięgał po kolejną fiolkę.

Niepotrzebnie to zrobiła.

- Hej.

Słyszając ostry głos Lance'a, podniosła wzrok.

- Nie odpywaj, bo będę musiał zrobić ci sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

- Nie odważysz się.

- Oczywiście, że się odważę. - Uniósł brwi. - Mam szansę na randkę z tobą?

- Nie ma mowy. - Teraz chce się z nią umawiać?

- W takim razie muszę zastosować metodę usta-usta. Skorzystać z okazji, póki czas.

- Nic z tego.

- Nie przejmujcie się mną - zaśmiał się George. - Ja tylko robię swoje.

- Staram się nie przejmować - zapewniła, bo ze wszystkich sił odsuwała od siebie jego obraz. I tej igły.

- Świetnie pani idzie - pochwalił.

Rzeczywiście szło jej lepiej, niż myślała. Popatrzyła na Lance'a. To jego zasługa. Bo ją rozpraszał. Grożąc, że zrobi jej sztuczne oddychanie.

Serce ciągle dudniło w niej jak szalone. Ze strachu. Nie przed Lance'em i jego groźbami.

George wyciągnął igłę. Spojrzała na nią, zobaczyła zaostroszony czubek i znów zrobiło się jej słabo. Popatrzyła na Lance'a. Chciała powiedzieć, że jest jej niedobrze.

- McKenzie, spokojnie. - Pomachał palcami przed jej twarzą, jakby to miało pomóc. - Nie odpływaj.

Zapadła się w ciemną otchłań.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Rozluźnij się. Zaraz będziesz u siebie. - Lance skręcił w ulicę wskazaną mu przez McKenzie.

Zaoponowała, gdy chciał wbić sobie jej adres do nawigacji. Uparła się, że sama mu powie, jak jechać. W sumie mógł się tego spodziewać.

McKenzie skrzyżowała ramiona.

- To, że zemdlałam, nie znaczy, że możesz mną poniewierać.

- A ja to robię? - Spojrzał na nią z ukosa. Na szczęście już nie była tak przeraźliwie blada jak godzinę temu.

- Możliwe.

- Masz za sobą ciężki wieczór, w dodatku straciłaś przytomność. To oczywiste, że się o ciebie martwię i chcę dopilnować, żebyś bezpiecznie dotarła do domu.

- Myślę, że przesadzasz.

- Myślę, że tracisz czas, przekonując mnie, żebym wysadził cię pod domem i odjechał.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Nie, ale przeraża cię myśl o zaproszeniu mnie do środka.

- Nic takiego nie mówiłam.

- Nie musiałaś.

- Masz bujną wyobraźnię. Przyszłam obejrzeć dzisiejszy program.

- Z przyjaciółką. - Celowo się z nią droczył. Zależało mu, by skupiła się na przekomarzaniach. Chciał ją zdekoncentrować. Niech nie myśli o tym, co się wydarzyło.

- Byłeś na scenie. Nie było ryzyka, że siądziesz przy mnie i będziesz zabawiać mnie rozmową.

Spojrzał na nią uważnie.

- Na tym ci zależało? - zapytał. - Żebym siedział z tobą przy stole?

- Gdybym umówiła się z tobą na randkę, to oczywiście wła-

śnie tego bym się spodziewała. Jednak przyszłam na imprezę jako twoja koleżanka, okazać wsparcie dla pięknej inicjatywy. Czyli nie ma sprawy.

- Mogę zaprosić cię na gwiazdkowe przedstawienie do Atlanty. Możemy wybrać się na kolację.

- Po co?

- Wtedy mógłbym siedzieć przy tobie i zabawiać cię rozmową.

- Nie chcę, żebyś siedział przy mnie i zabawiał mnie rozmową. - Zabrzmiało to jak odpowiedź nadąsanego dzieciaka. Lance nie mógł się nie uśmiechnąć.

- A czy teraz właśnie tego nie robimy?

- Teraz odwozisz mnie do domu. Odprowadzisz mnie pod drzwi i możesz sobie iść.

- Może zechcę wejść do środka? - Nie mógł się powstrzymać, by jej nie pomęczyć. Był ciekaw, co mu odpowie. Nie miał zamiaru wpraszać się do niej, chyba żeby przekonać się, że już dobrze się czuje.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Przecież nawet nie byliśmy na randce. Skąd myśl, że pozwolę ci zostać?

- Wyciągasz pochopne wnioski. Powiedziałem, że chciałbym wejść do środka, ale to nie znaczy, że zamierzam zostać.

- No tak. - Odwróciła się i zapatrzyła w okno.

- Choć to jasne, że chciałbym zostać. Myślę, że razem byłoby nam bardzo miło.

- Możliwe.

- W twoim głosie nie słyszę szczególnego entuzjazmu.

- Bo to odpada. Jesteśmy kumplami z pracy. Nic więcej.

- Przyszłaś na dzisiejsze przedstawienie.

- Koledzy powinni się wspierać również poza pracą, to naturalne.

- Widzę, jak na mnie patrzysz.

Zamrugnęła. Ten człowiek doprowadza ją do szału. Niby jak na niego patrzy?

- O czym ty mówisz? To ty patrzysz na mnie, jakbyś od lat nie widział kobiety.

- Oczywiście, że widziałem, ale teraz nie rozmawiamy o mnie. Mówimy o tym, jak ty na mnie patrzysz.

- Nie patrzę na ciebie.

- Owszem, patrzysz.

- No to jak ja na ciebie patrzę?

- Jakbyś od lat nie widziała mężczyzny.

- Bzdura. - Pokazała, żeby skręcił w prawo.

- Jednak to prawda. I dobrze wiem, że po tym, jak zrobiłem ci sztuczne oddychanie metodą usta-usta, marzysz, żeby to powtórzyć. - Posłał w powietrze całusa. W oczach błysnęły mu iskielki.

- Masz rozdęte ego - odparła. Cieszyła się, że już skręcili w jej ulicę. Jeszcze kilka minut i skończą tę kłopotliwą rozmowę. - Poza tym nie robiłeś mi sztucznego oddychania. Nie miałam zatrzymania oddechu.

- Chodziło o ciebie, więc nie mogłem pozwolić na najmniejsze ryzyko. Dlatego te usta-usta. - Nadal się z nią droczył. - Byłaś nieprzytomna i pewnie nic nie pamiętasz. George zaofiarował się z pomocą, ale uspokoilem go, że mam wszystko pod kontrolą.

- Jasne. - Przewróciła oczami. Miała stuprocentową pewność, że nie wykorzystał sytuacji i nie zrobił jej sztucznego oddychania. George też na pewno nie wystąpił z taką propozycją. - Wychodzi na to, że mamy z sobą wiele wspólnego, bo ja też nie chcę żadnego ryzyka. Zwłaszcza z takimi jak ty, więc rozumiesz, dlaczego nie zaproszę cię do siebie. Ani teraz, ani w ogóle.

- Nigdy?

- Raczej nigdy.

Nie chciała, by odprowadzał ją pod drzwi; z drugiej strony wiedziała, że nie powinna oponować. Skoro zemdląca, czuł się w obowiązku dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do domu. Lance zachowywał się poprawnie, jednak ona czuła się niezręcznie.

- Ładnie mieszkaś - pochwalił, gdy podjechali pod dom.

- Jest ciemno. Niewiele widać - skontrowała.

- Nie jest aż tak ciemno, żebym nie zobaczył ładnego domu

i zadbanego ogródka. – Zaparkował, zgasił silnik i zaśmiał się cicho. – Nigdy nie spotkałem równie drażliwej i upartej kobiety jak ty.

Chciała zaprotestować, jednak ugryzła się w język. Lance jest bardzo spostrzegawczy, to musiała przyznać.

– Nie prosiłam, żebyś mnie odwoził – odgryzła się. Domyślała się, że zwykle spotykał się z bardziej chętnymi kobietami. – Doceniam twoją troskę, ale nie prosiłam, żebyś zawoził mnie do szpitala i siedział przy mnie, kiedy pobierali mi krew. Ani żebyś groził mi sztucznym oddychaniem.

Westchnął ciężko.

– Widzę, że wolałabyś ponownie zobaczyć George'a, niż żebyś cię odwiózł do domu.

To trochę ją ostudziło.

– Może to za daleko idący wniosek.

– Czyli jazda ze mną jest lepsza od igły? Dobrze wiedzieć.

Znów się z nią przekomarzał, jednak świadomość, że jest z nim pod domem, sam na sam w samochodzie, wprawiała ją w zdenerwowanie. On tak na nią działał.

I wspomnienie jego ust, gdy dotknął nimi jej dłoni. Ten ciepły dotyk był taki przyjemny. Mimo że drętwiała z przerażenia, bo już widziała szykowaną przez George'a igłę. Wiedziała, że Lance chciał tylko ją rozproszyć, nie chodziło o nic innego. I to mu się udało, bo dzisiejsze pobranie krwi było o niebo lepsze od poprzednich.

– Dziękuję za wsparcie przy badaniu.

– Przyjemność po mojej stronie.

– Nie o to mi chodziło.

– A o co?

– Dobrze wiesz.

– Wiem? – Miał minę niewiniątka, ale oboje wiedzieli, że to tylko pozór.

– Przestań się ze mną drażnić.

– Ale to takie fajne. – Żadne z nich się nie ruszyło, żeby wysiąść z samochodu. – Zresztą powiedziałem prawdę.

Że to dla niego była przyjemność? Zapiękły ją policzki. To dla niej była przyjemność. Ten pocałunek pomógł jej przetrwać

łek. I sprawił przyjemność.

- Bardzo żałuję, że dzisiejszy wieczór nie poszedł tak, jak sobie planowałeś.

- Dostałem esemesa od znajomego. Już nic nie zakłóciło występów i choć kilka osób wyszło przed czasem, zebraliśmy nieźle pieniądze.

- To świetnie.

- Żebyś wiedziała. Zapanowanie nad dzieciakami, które właśnie skończyły szkołę, i utrzymanie ich na miejscu, to wielka rzecz.

- Zabawa na zakończenie nauki to naprawdę dobry pomysł. - Wiedziała, że to była inicjatywa Lance'a. Przez kilka lat, gdy odbywała staż, nie było jej w Coopersville, ale słyszała wiele pozytywnych opinii na ten temat. - W twojej szkole był taki zwyczaj? To dlatego się w to włączyłeś?

- Nie. W mojej szkole niczego takiego nie było. Czego bardzo żałuję.

Coś w jego tonie ją zastanowiło. Lance otworzył drzwi i wysiadł.

Czyli ona również powinna to zrobić. Pójdzie do domu. Sama. Nie zaprosi Lance'a. To słaby pomysł.

Wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. Odwróciła się do Lance'a. Uprzejmość starła się z naturalnym instynktem samozachowawczym.

- Może wejdiesz?

Zmierzył ją przenikliwym wzrokiem. Ku jej zaskoczeniu pokręcił przecząco głową.

- Dzięki za zaproszenie, ale wracam pomóc przy sprzątaniu sali widowiskowej.

- Aha.

- Mógłbym pomyśleć, że czujesz się zawiedziona.

Jest zawiedziona? Nie, to nie poczucie zawodu ją bolało. Raczej niestrawność po stresie spowodowanym pobieraniem krwi. Albo coś w tym rodzaju.

Uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Przepraszam, że odciągnęłam cię od twoich zajęć.

- Nie ma problemu, na pewno sytuacja jest pod kontrolą. Jed-

nak chcę tam wrócić i wszystkiego dopilnować. Przedstawienie się udało. No i mogłem trochę pobyc z tobą.

Spojrzał na zegarek.

- Jedziesz gdzieś?

- Na przyjęcie do Lanette i Rogera Andersonów. To ona mnie zastąpiła. - Przypomniał jej atrakcyjną ciemnowłosą wokalistkę.

- Będą świąteczne dekoracje i mnóstwo jedzenia. Może masz ochotę wybrać się ze mną?

- Nie, dzięki. Najadłam się, oglądając występy.

Lance roześmiał się.

- Wiedziałem, że odmówisz.

- Mogłeś uprzedzić, że masz plany na wieczór.

- I nie patrzeć, jak zastanawiasz się, czy mnie zaprosić do domu? Bo niby czemu?

- Bo jesteś przyzwoitym człowiekiem?

- Jestem przyzwoitym człowiekiem. Mówiłem ci, że mam referencje.

- Od mamy się nie liczą.

- Liczą się najbardziej.

Dlaczego się do niej zbliżył? Dlaczego się nie cofnęła? Jakby lada moment miał pochylić ku niej usta. Stał bardzo blisko. Tak blisko, że gdyby wspięła się na palce, niechcący dotknęłaby jego ust.

Czuła na twarzy ciepło jego oddechu. Lance roześmiał się. Znów niemal fizycznie poczuła jego bliskość.

- Pozwól mi się zrehabilitować i chodź ze mną na szpitalne gwiazdkowe przyjęcie w przyszłym tygodniu.

- Mogę sama pójść.

- Możesz, ale nie powinnaś.

- Mylisz się. Już od dawna noszę damską bieliznę.

Oczy mu błysnęły.

- Pokaż mi.

- Chciałbyś.

- Oczywiście.

Nie próbował jej pocałować, nie skorzystał z zaproszenia i nie wszedł do domu, gdzie mógłby namówić ją na coś więcej. Zamiast tego zasugerował, że mogłaby nakłonić go do zmiany pla-

nów. To jej pozostawiał decyzję, jej oddawał inicjatywę.

- Czyli widzę cię świeżą i rześką w poniedziałek rano.
- Dobrej zabawy na przyjęciu.
- Możesz iść ze mną i też się dobrze bawić.

Pokręciła głową.

- Nie chcę ci przeszkadzać.
- Przeszkadzać?

- A jeśli poznasz kogoś, kogo będziesz chciał zabrać do domu?

- Już kogoś takiego spotkałem. Tylko ona wciąż mówi „nie”.
- Nie mówiłam o mnie.
- Ale ja mówię o tobie.

Zdenerwowała się. Bo był taki natrętny, a może dlatego, że jej nie pocałował. Może z obu powodów.

- Mógłbyś być poważny?

Delikatnie przesunął kciukiem po jej policzku.

- Zrozum mnie dobrze. Jestem bardzo poważny, kiedy mówię, że czuję chemię, jaka jest między nami.

- Niby dlaczego miałabym cię brać na poważnie? - odparła. - Od pięciu minut stoimy pod moimi drzwiami, a nawet nie spróbowałeś mnie pocałować. Sama już nie wiem, co o tobie myśleć.

Sprowokowała go. Lance błyskawicznie pochylił się do jej ust. Lekki dotyk jego warg zelektryzował ją, czas nagle zatrzymał się w miejscu. Zabrakło jej tchu. Chciała więcej. Przyłgnęła do niego i oddała pocałunek. Jakby się chciała dowiedzieć, dlaczego Lance tak na nią działa, że jednocześnie chce uciekać i zostać.

Zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego ciała. Zarzuciła mu rękę na ramiona.

- Dobranoc, McKenzie - wyszeptał tuż przy jej ustach. Otworzyła oczy.

- Jeśli nie przyślesz esemesa z wiadomością, że chcesz mnie zobaczyć, spotkamy się w poniedziałek rano. - Cofnął się, popatrzył jej w oczy i ruszył do samochodu.

- Na twoim miejscu bym na to nie liczyła! - zawołała.

Zaśmiał się tylko.

- Dzięki za usta-usta. Jeszcze nigdy tak świetnie się nie czu-

łem. Miłych snów!

- Daruj sobie - mruknęła, obserwując, jak Lance wsiada do samochodu. Gdy ruszył, jeszcze miał czelność pomachać jej na pożegnanie. Co za drań.

Nie miała miłych snów. Wciąż śniła o gorących, namiętnych pocałunkach. Gdy się obudziła, spojrzała na telefon. Dopiero po północy, czyli spała mniej niż godzinę. A niech go! Powinna wysłać mu esemesa, by trzymał się od niej z daleka i nie nawiedzał jej w snach. Nie jest jej do niczego potrzebny.

Może wtedy coś by do niego dotarło.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu.

Marzyła, żeby zasnąć. Nie śnić o nim. O jego pocałunkach. I błaganiu go o więcej, zamiast patrzeć, jak odjeżdża spod jej domu.

O tym, żeby nigdy nie zniżyła się do takich błagań. Nie zachowywała się jak jej matka.

Żeby nie była taka jak matka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Edith Winters zjawiała się w przychodni przynajmniej raz w miesiącu, uskarżając się na kolejne przypadłości. Edith była po osiemdziesiątce i większość z jej problemów, z uwagi na podeszły wiek, była typowa, jednak McKenzie intuicyjnie podejrzewała, że starsza pani czuła się samotna i potrzebowała kontaktu z kimś, kto podejdzie do niej z sercem.

Edith mieszkała sama. Jej jedyny syn przeniósł się na Florydę i rzadko odwiedzał matkę.

- Od jak dawna to pani dolega?

- Od zeszłego tygodnia.

Od czterech dni miała bóle brzucha oraz problemy z wypróżnieniem i czekała z tym tak długo?

- Nie chciałam robić zamieszania.

- W przypadku silnych i nieustępujących objawów należy szybko szukać pomocy.

- Przyszłabym wcześniej, gdyby mi się jeszcze pogorszyło.

Edith była u niej niecały miesiąc temu, niedługo miała zgłosić się po recepty. Chyba rzeczywiście coś jej dolegało, skoro zadzwoniła, prosząc o numerek. McKenzie zgodziła się przyjąć ją dodatkowo. Lubiła starszą panią i liczyła, że wystarczy okazanie zrozumienia i zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

- Rano trochę wymiotowałam i zobaczyłam świeżą krew.

McKenzie podniosła wzrok znad komputera. Pielęgniarka, która przeprowadzała wywiad, nic nie wspomniała o krwi. Żywa krew i mocny ból brzucha.

- Miała pani kiedyś wrzód żołądka?

Edith pokręciła głową.

- Nic takiego sobie nie przypominam, ale ostatnio pamięć mnie zawodzi.

- Zrobimy badania i zobaczymy. Muszę skierować panią do szpitala, przynajmniej do jutra. Sprawdzimy, skąd ta krew.

Sama też musi sprawdzić, czy już są jej wyniki. George mówił, że powinny być w poniedziałek. Zapyta również o wyniki burmistrza. Jeśli u niego niczego nie wykryją, będzie mogła odetchnąć. Choć to jeszcze niczego nie przesądza. Oby jego wyniki były dobre.

Nie zastanawiała się wiele nad konsekwencjami swoich działań. Była zbyt pochłonięta rozpamiętywaniem pocałunku z Lance'em. Jednak podczas porannego biegu myślała już tylko o nim. I nakręcała się coraz bardziej.

Zbadała pacjentkę i wypisała skierowania. Gdy godzinę później szła korytarzem do gabinetu, dostała telefon ze szpitala. Odebrała, pełna lęku.

- Doktor Sanders.

- Witam, pani doktor. Tu Melissa z laboratorium. Doktor przejrzał wyniki pani badań i prosił przekazać, że wszystko jest w porządku. Tak samo wyniki osoby, z której krwią miała pani kontakt. Chciał poinformować panią jak najszybciej.

Spłynęła na nią ulga. Oparła się o ścianę.

- Dziękuję, to świetne wiadomości.

- Jak pani wie, badania muszą zostać powtórzone, zgodnie z procedurą.

Wiedziała. Rozłączyła się, ledwie się powstrzymując, by nie skakać z radości.

- Wyniki są dobre?

Podskoczyła, słysząc głos Lance'a. Nie zauważyła, kiedy do niej podszedł.

- Nie rób tego - powiedziała z chmurną miną.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć, inaczej szedłbym głośniej.

Weszła do gabinetu, Lance za nią. Głośnie stawiając nogi. McKenzie wzniosła oczy do nieba.

- Czyli wszystkie wyniki są dobre?

Kiwnęła głową, nie patrząc na niego. Bo wtedy działo się z nią coś dziwnego.

- Dzięki Bogu. - W jego głosie słyszała ogromną ulgę. - Burmistrza też?

Znowu kiwnęła głową.

- To wspaniałe wiadomości.

McKenzie postawiła swój laptop na biurku i popatrzyła na Lance'a.

- Potrzebujesz czegoś?

- Chciałem zapytać o te wyniki.

- Trafiłeś w samą porę.

- Powinniśmy to uczcić.

Nawet nie starała się ukryć zaskoczenia.

- Dlaczego?

- Bo taką fantastyczną wiadomość należy uczcić.

Nie powinna spoglądać w te jego niebieskie oczy, nie powinna myśleć o jego niesamowitym uśmiechu i dołeczkach w policzkach, nie powinna gapić się na jego cudowne usta.

- To ciebie w żaden sposób nie dotyczy - odparła, bezskutecznie starając się nie robić tego, czego nie powinna.

- Oczywiście, że dotyczy. Byłem tam przecież, zapomniałaś?

Jak mogłaby zapomnieć? W tym problem. Nie potrafiła odsunąć od siebie wspomnień tamtej nocy. Lance zabrał ją do szpitala, siedział przy niej, gdy pobierano jej krew. Odwiózł ją do domu. Pocałował.

Lance. Lance. Lance.

Jest pod jego urokiem. Zaczarował ją. On i ten buziak.

Zapiekiły ją policzki; miała nadzieję, że Lance nie czyta w jej myślach. Gdy ich spojrzenia się spotkały, przestała się łudzić. Doskonale wiedział, co się z nią działo. Nie myśl o tym pocałunku, powtarzała sobie. Nie rób tego.

- To tylko moja sprawa - dodała z uporem, świadoma tego, że przecież razem pracują. Nie pójdzie drogą ojca, który nie przepuszczał żadnej chętniej, z którą pracował. Nie ma mowy, by zaangażowała się w układ, który na dłuższą metę nie skończy się niczym dobrym.

W dodatku, co jeszcze bardziej stresujące, wciąż nie może wybić go sobie z głowy. Reaguje na Lance'a zupełnie inaczej niż na innych mężczyzn. Musiałaby być bezdennie głupia, by odważyć się na takie ryzyko. To jak rosyjska ruletka. Skończyłaby jak jej matka, a tego nie chce.

- Uparta z ciebie kobieta - stwierdził Lance z rozbawieniem.

- A z ciebie nieustępliwy facet - odparowała, udając, że jest zajęta. Może się domyśli i pójdzie stąd. Ma już dość jego przenikliwego spojrzenia.

Lance przysiadł na rogu biurka i roześmiał się.

- Pomyśl tylko, czego moglibyśmy dokonać, gdybyśmy działali razem.

- Nie jesteśmy wrogami. - Może właśnie w ten sposób powinna na niego patrzeć po tym podstępnym pocałunku.

Przytrzymał jej spojrzenie, oczy mu błyszczały.

- Ale nie chcesz być nikim więcej niż koleżanką.

Nie była pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie faktu. Wbiła wzrok w zlecenie na sprzęt dla pacjenta, które powinna podpisać. Obraz zafalował jej przed oczami. Powinni pozostać przyjaciółmi. Kolegami z pracy. Nie kochankami.

- Tego nie powiedziałam. - Za późno ugryzła się w język. Skąd jej się to wyrwało?

- Czyli chcesz?

- Tego też nie powiedziałam. - Skrzywiła się. Gada od rzeczy, nic dziwnego, że Lance nie może za nią nadążyć. Zresztą sama też nie może się pozbierać.

Wcale nie wyglądał na skołowanego. Przeciwnie, uśmiechnął się szeroko.

- Wybierzesz się ze mną wieczorem na mrożony jogurt?

Całkowicie zbił ją z tropu. Zamrugła.

- Na mrożony jogurt? Z tobą?

Czy on zwariował? Jest grudzień, zima za oknem. Prowadzą poważną rozmowę na temat ich relacji, a on wyskakuje z taką propozycją? Zaprasza na mrożony jogurt? Taki ma pomysł na świętowanie dobrych wieści?

Dlaczego nagle rozpaczliwie zapragnęła tego lodowego deseru?

- Właściciele przekażą dwadzieścia procent dzisiejszego zysku na zabawki dla dzieci pod choinkę. Szeryf robi zbiórkę. Możemy posiedzieć przy deserze, opowiesz mi o sobotnim maratonie. Słyszałem, że wygrałaś w swojej grupie wiekowej. Chyba nie odmówisz pomocy w zbożnym celu?

- Powinieneś pracować w dziale sprzedaży. Już ci mówiłam,

że jesteś nieustępliwy?

- Już ci mówiłem, że jesteś uparta?

Popatrzyła na niego z półuśmiechem.

- Siedzę tu do wieczora. Kupię jogurt po drodze do domu. Dołożę się w ten sposób do zabawek.

Uśmiechnął się szerzej, zrobiły mu się dołki w policzkach.

- Myślisz, że ja tu nie zostaję do wieczora?

- Nie wiem, co będziesz robić - odparła szczerze.

Nie interesowała się jego zajęciami. Nie chciała zaprzętać sobie nim głowy, nie chciała ulegać jego urokowi. No i jak to się skończyło? Właściwie nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

- Poza tym wybieram się do szpitala do pacjentki. - Morfologia Edith ją zaniepokoiła, na szczęście skonsultuje ją gastroenterolog. Mogła obejrzeć wyniki badania w komputerze, ale wolała zobaczyć Edith na własne oczy.

- Możemy razem pojechać do szpitala, a potem iść na jogurt.

- Zaczną się plotki, jeśli ludzie zobaczą nas razem w szpitalu, a potem w kawiarni.

- Myślisz, że już nie gadają? Rozeszło się, że pocałowałem cię podczas pobierania krwi.

I potem na ganku przed domem. Cudownie. I za krótko.

Ręce same jej się wyciągały, by przyciągnąć go do siebie bliżej i całować do utraty tchu.

- George rozgłosił, że uratowałem ci życie, robiąc usta-usta, gdy zemdlałaś.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Nic takiego nie zrobiłeś.

- Tak myślisz? Przecież nadal żyjesz.

Jeszcze nigdy nie miała w sobie tyle życia. To jego spojrzenie tak na nią działa.

- Jesteś mi dłużna. - Patrzył na nią przenikliwie. - Przyznaj, że tak.

Nie mogła wytrzymać tego wzroku. Przewróciła oczami.

- Nic nie jestem ci dłużna.

Westchnął przesadnie.

- Masz rację. To ja jestem ci dłużny. Chcę ci to wynagrodzić, zapraszając na jogurt.

- Za co jesteś mi dłużny?

- Za tamten pocałunek.

Zapięły ją policzki. Wlepiała spojrzenie w formularz na biurku, ale znów nie była w stanie się skoncentrować.

- Niczego nie jesteś mi winien.

- Jak najbardziej jestem.

- Dlaczego? - Nie patrzyła na niego.

- Bo to był niesamowity pocałunek.

Rzeczywiście był niesamowity.

- Jeśli zgodzisz się i powiesz „tak”, zrewanżuję się.

- Kolejnym buziakiem?

- Hm, myślałem o jogurcie, ale dużo bardziej podoba mi się twoje podejście.

Nie odpowiedziała. Znow przysiadł na biurku, uśmiechnął się do niej.

- Ale jestem zgodny z natury. Jeśli ładnie poprosisz, będzie i jogurt, i usta-usta.

Zagryzła wargi. Chciała powiedzieć „tak”. Bardziej niż powinna. Przecież to tylko mrożony jogurt.

I dotyk jego ust.

- Myślisz, że w ten sposób namówisz mnie, żebym się zgodziła? - Niepotrzebnie na niego popatrzyła. To był błąd.

Lance wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

- Tak.

Powiedział to z takim przekonaniem, że szeroko otworzyła oczy.

- Chcesz mnie, McKenzie, tak jak ja ciebie. Nie mam pojęcia, dlaczego się opierasz, dlaczego nie chcesz się ze mną umówić, ale mam stuprocentową pewność, że chcesz być ze mną. I że ten pocałunek był dla ciebie równie niesamowity jak dla mnie.

- Masz tupet.

- Mówię szczerze.

- Niby dlaczego chciałabym być z tobą?

Spowaźniał.

- Dobrze się nam pracuje. Mamy świetny kontakt. I wiele wspólnego, łącznie z tym, że oboje nie chcemy angażować się na dłużej. Ogólnie jestem miłym gościem.

- Z którym pracuję - przypomniała.

- To cię powstrzymuje? Że razem pracujemy?

Zagryzła wargę i kiwnęła głową. Bo przecież to jest prawdziwy powód? Nie to, że on tak na nią działa, że boi się konsekwencji. Jeśli za bardzo się do niego przywiąże, skończy jak jej matka. Czy to strach ją paraliżuje?

Przyjrzał się jej uważnie.

- Gdybyśmy nie pracowali razem, byłoby inaczej? Przyznałabyś, że między nami iskrzy?

- Pracujemy razem, więc nie ma o czym mówić.

Przemawiała bardziej do samej siebie niż do Lance'a. Nie jest tchórzem. Nie obawia się bliskiej relacji. Bo gdyby rzeczywiście kierował nią lęk, to by znaczyło, że naprawdę przypomina matkę. A przecież jest inna.

- Ale gdybyśmy razem nie pracowali, poszłabyś na ten jogurt?

Zamknęła oczy i kiwnęła głową. Boże dopomóż. Naprawdę by z nim poszła. I nie odmówiłaby buziaka. Zamknęła oczy, starając się odsunąć od siebie ten obraz. Nie boi się Lance'a. Powstrzymuje się wyłącznie dlatego, że razem pracują. Usłyszała jakiś dźwięk. Może Lance przysuwa się bliżej, by ją pocałować? Otworzyła oczy. Lance już był przy drzwiach.

Przecież przed chwilą przyznała, że chce się z nim spotykać, że chce się z nim całować, a on wychodzi?

- Gdzie idziesz? - zapytała, zbyt późno zdając sobie sprawę, że niepotrzebnie zdradziła swoje rozczarowanie.

- Zostawiam cię w spokoju. Oboje jesteśmy dorośli i oboje nie chcemy poważnego związku. Mamy takie samo podejście, a firma nie wtrąca się w prywatne układy między pracownikami, czyli twoje zastrzeżenia są naciągane. Wydawało mi się, że odwzajemniasz moje zainteresowanie, ale albo błędnie odczytałem sygnały, albo się boisz. Tak czy inaczej ja pasuję. Przepraszam, że zawracałem ci głowę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Poderwała się zza biurka, złapała go za kurtkę i pociągnęła do gabinetu. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, blokując mu drogę.

- Czy to znaczy, że już nie będziemy przyjaciółmi? - Zabrzmiało to idiotycznie. I tak właśnie się czuła. Odrzuciła go. Kolejny raz. Oznajmił, że zostawi ją w spokoju, a ona nie pozwala mu odejść. Zachowuje się absurdalnie.

Zupełnie się pogubiła. Powinna się opamiętać. Co się z nią dzieje?

- Chcesz, żebyśmy byli jedynie przyjaciółmi? - Oczy mu pociemniały. - Przykro mi, ale dla mnie to za mało. Po tym pocałunku muszę mieć czas, żeby się otrząsnąć i myśleć o tobie jak o koleżance z pracy. Nie możemy być tylko przyjaciółmi. W każdym razie ja sobie tego nie wyobrażam.

- Przestań - zaoponowała, nie radząc sobie z przepełniającymi ją emocjami. - Tylko dlatego, że nie chcę iść z tobą na mroźny jogurt? To śmieszne.

- Nie chodzi tylko o jogurt, i dobrze o tym wiesz. Coś przyciąga nas do siebie, chyba nie zaprzeczysz. Już wiele się zdarzyło. Byłem z tobą szczery. Wprawdzie nie interesuje mnie poważny związek, ale pociągasz mnie i chciałbym, żeby między nami było coś więcej. Ty też powinnaś zdobyć się na szczerść. Bo wymawianie się tym, że razem pracujemy, jest naprawdę śmieszne.

- Ale... - Umilkła. Co mogła powiedzieć?

Pracują razem, ale to nie jest cała prawda. Lance jej się podoba. Codziennie czeka, by go zobaczyć, choćby przelotnie. Usłyszeć jego głos, patrzeć, jak się śmieje, nawet z daleka i nie do niej. Jest jej przyjemnie, gdy na jej widok Lance się rozjaśnia. I patrzy na nią tak, jakby miał ochotę ją schrupać. Nie chce, by teraz zaczął jej unikać. Nie chce, by w ich kontaktach coś się

zmieniło, żeby zaczął schodzić jej z drogi. Jeśli tak się stanie, będzie jej przykro.

Tyle wtedy straci!

- Możesz umawiać się z innymi kobietami - powiedziała, czując bolesny ucisk w sercu. Wcześniej tak tego nie odbierała, ale to było, zanim się z nim pocałowała. Teraz nie mogła znieść myśli, że to nie ją będzie całował. - Możesz się z kimś związać - ciągnęła, dusząc w sobie zazdrość. - Wtedy nadal możemy się przyjaźnić.

- Mylisz się.

- Dlaczego?

Pochylił się i dotknął ustami jej warg.

Serce załomotało jej w piersi. Bez namysłu oddała pocałunek. Zarzuciła mu ręce na szyję, wsunęła palce w jego ciemne włosy. Całowała go tak gorąco, że kolana się pod nią ugięły. Kolejne pocałunki były jeszcze bardziej namiętne. Myśl, że Lance usunie ją ze swego życia, była nie do zaakceptowania. Przytuliła się do niego mocniej.

Lance odsunął się lekko, oparł o jej czoło i spojrzał w oczy.

- To dopiero był buziak. - Pieszczotliwym gestem ujął jej twarz w dłonie. - Nie będę udawać, że we mnie nie buzuje. Chcę ciebie. Chcę cię całować. Całą. Dla mnie to coś zupełnie innego niż przyjaźń.

Chce ją całować. Odepchnęła od siebie szalone obrazy podsuwane przez wyobraźnię.

- Grasz nie fair.

Przesunął palcami po jej policzku, uniósł brwi.

- Tak uważasz? Jestem uczciwy. Co w tym jest nie fair?

Westchnęła głęboko. Lance delikatnie musnął ustami jej wargi. Boże, jak niesamowicie to na nią działa! Od razu czuje się wniebowzięta. Cóż, może od początku chciała powiedzieć „tak”. Ale to nie znaczy, że nie powinna być ostrożna. Jeśli nie ulegnie iluzjom, nie zacznie żyć mrzonkami, to nic jej nie grozi.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pojadę z tobą do szpitala i pójdę na jogurt, ale pod jednym warunkiem.

- Śmiało.

Powinna poprosić o gwiazdkę z nieba czy coś równie nieosiągalnego, jednak za dobrze go zna. Z pewnością znalazłby sposób, żeby spełnić jej kaprys.

- W pracy szlaban na usta-usta - oznajmiła.

Gwizdnął cicho.

- Rozumiem twoje zastrzeżenia, ale to chyba łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Cofnęła się, oparła plecami o drzwi. Uniosła dumnie głowę, skrzyżowała ramiona.

- To mój warunek.

- Zgoda. - Pokręcił głową. - Tylko nie jestem pewien, czy tobie to się uda.

Jej triumf trwał tylko chwilę. Zamrugła.

- Mnie?

Spokojnie pokiwał głową.

- Skoro już wiesz, że dobry jestem w całowaniu, to jak się powstrzymasz, żeby nie wciągnąć mnie za zamknięte drzwi, gdy poczujesz, że trzeba cię reanimować?

No tak.

- Jakoś się pohamuję. - Jakoś. Lance jest mistrzem w całowaniu, jednak ona ma swoją godność. - Idź już, muszę popracować.

I zwymyślać się w duchu za to, że właśnie okazała się nieodrodną córką swoich rodziców.

Czekając na Lance'a, przejrzała wyniki badań Edith. Morfologia nieco gorsza niż zazwyczaj, lecz nie dramatycznie. Tomografia komputerowa jamy brzusznej nie wykazała pękniętego wrzodu czy zmian nowotworowych, choć potwierdziła zaparcie.

Czy pacjentka rzeczywiście pluła krwią? Jeśli tak, to skąd ta krew się wzięła? Może starsza pani zakaszłała tak mocno, że doszło do niewielkiego krwawienia z oskrzeli? Mało prawdopodobne.

McKenzie poprosiła o skonsultowanie jej przez gastroenterologa. Zapewne zrobią jej gastroskopię, by skontrolować przełyk i żołądek. Chyba że specjalista uzna, że ze względu na wiek pacjentki lepiej nie ryzykować.

- Bujasz w obłokach - odezwał się Lance, pukając w otwarte drzwi gabinetu i wchodząc do środka. - Myślisz, ile radości da ci dziś wieczór ze mną?

- Nie przesadzaj. - Nie miała zamiaru jeszcze mocniej podbudowywać jego ego. - Zastanawiam się nad dolegliwościami pacjentki.

- Chcesz o tym pogadać?

- Niekoniecznie. - Widząc jego zawiedzioną minę, wycofała się. - Przyszła dzisiaj, uskarżając się na bóle brzucha, zaparcia i plucie krwią, choć to nie były typowe wymioty.

- Anemia?

- Lekka, ale nic nie wskazuje na poważne krwawienie. Zawsze miała wyniki w dolnych granicach normy, ale teraz trochę się pogorszyły.

- Poprosiłaś o konsultację?

- Gastroenterologa.

- Jakies inne objawy?

- Edith zawsze ma wszystko, o co ją zapytasz.

- Edith Winters?

- Znasz ją? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Oczywiście. Wiele razy ją przyjmowałem. Urocza pani.

- Trochę się o nią martwię. Pewnie to nic takiego. Może do śniadania wypła sok grejpfrutowy i gdy splunęła, wzięła go za krew. Nie wiem, co jej dolega. Ale mam przeczucie, że coś mi umknęło.

- Chcesz, żebym ją obejrzał?

- Mógłbyś?

- Inaczej bym nie proponował. Zresztą i tak będę z tobą w szpitalu.

- Racja. - Wzięła torebkę, wstała. - Jesteś gotowy, żeby ruszać i mieć to z głowy?

- Mówisz o szpitalu czy o dzisiejszym wieczorze?

Popatrzyła na niego, lekko wzruszając ramionami.

- Zobaczymy. I jeszcze coś. Nie licz, że zadowolę się mrożonym jogurtem. Nie jestem jak te twoje wieczne odchudzające się i liczące kalorie panienki. Najpierw musi być porządna kolacja, dopiero potem jogurt.

Lance uśmiechnął się do siedzącej obok niego McKenzie. Już drugi raz w tym tygodniu jedzie z nim samochodem, a już zaczynał wątpić, że kiedykolwiek się do siebie zbliżą.

Rozumiał jej obiekcje, ale przecież nie pracowali ramię w ramię, jedynie w tej samej przychodni. Spotykali się okazjonalnie. W stosunku do innych kobiet byłby bardziej wstrzemięźliwy, ale McKenzie jest profesjonalistką, potrafi oddzielić sprawy prywatne od pracy.

Poznał ją dwa lata temu, gdy po stażu wróciła do Coopersville. Od razu był nią zafascynowany. Ona też zerknęła na niego z zainteresowaniem, ale nigdy nie próbowała nawiązać bliższej relacji. Najwyraźniej nie była na takim etapie życia, by szukać kogoś na stałe.

On sam też nie zamierzał wiązać się na poważnie, jednak podchodził do tego inaczej. McKenzie utrzymywała jedynie przelotne znajomości, jej romanse nie trwały dłużej niż miesiąc. Jak w zegarku. Kończyła układ i zaczynała kolejny. Lance nie miał w planach małżeństwa, jednak wolał stałe związki. Bez oczekiwań.

Był wierny pamięci Shelby. To jej się należy. To i dużo więcej. Ale nic więcej nie było możliwe.

Po rozstaniu z ostatnią dziewczyną nie miał ochoty na szukanie kolejnej. Żadna go nie pociągała. Z wyjątkiem McKenzie. Dziwne, że choć nie unikała romansów, zawsze odrzucała jego awanse, choć widział, że jest nim zainteresowana. Być może rzeczywiście z zasady unika związków z facetami, z którymi pracuje?

- Umawiałaś się kiedyś z kimś z pracy?

- Dlaczego pytasz?

- Bo jestem ciekawy, dlaczego randka ze mną to taka wielka sprawa.

- Nie powiedziałam, że randka z tobą to wielka rzecz - odcięła się natychmiast.

- Ci, co mnie polecają, uważają, że randka ze mną to wielka rzecz.

- Cóż, powinieneś uaktualnić swoje referencje, bo opinia ma-

musi się nie liczyć.

Uśmiechnął się, słysząc jej replikę. Lubił jej cięty język i bystry umysł.

- Myślałaś o naszym pocałunku?

- Co?

Uśmiechnął się. No tak, znowu wytrącił ją z równowagi.

- Pytam z ciekawości. Myślałaś o naszym pocałunku przed twoim domem?

- Nie odpowiem na to. - Odwróciła się i wbiła wzrok w okno. Lance roześmiał się.

- Nie musisz. Ja już wiem.

- Nie podoba mi się, że wszystko o mnie wiesz.

- Nie ośmielam się twierdzić, że wszystko o tobie wiem, ale masz bardzo wyraziste oczy i mimikę, niektórych rzeczy nie jesteś w stanie ukryć.

- Na przykład?

- Tego, co do mnie czujesz.

- Przykro mi. Z odrazą tak już bywa.

- Wmawiaj to sobie, a może uwierzysz, ale mnie nie przekonasz. Pocałowałem cię, pamiętasz?

- Jak mam nie pamiętać, skoro wciąż mi to przypominasz?

Zaśmiał się znowu.

- Mam zamiar ci przypominać.

- Mam dobrą pamięć. Możesz sobie darować.

- Wiem, ale to przypomnianie sprawia mi przyjemność.

- Dlaczego?

- Bo zazwyczaj nie denerwujesz się łatwo, a mnie udaje się cię zdenerwować.

- Mówisz, jakby to było coś pozytywnego - odparła.

Miała zaróżowione policzki, podniesiony głos, oczy jej lśniły. Uśmiechnął się.

- Chyba tak. Trzeba cię trochę pobudzić.

- Dlatego się czerwienię?

- Może masz grzeszne myśli? - podsunął, drocząc się z nią. - I podobały ci się nasze pocałunki.

- Zmieńmy temat. Porozmawiajmy o Edith i jej wypróżnieniach.

Lance wybuchnął śmiechem.

- Świetnie się z tobą gada. Nieźle dobierasz słowa.

- Dołącz do nich „nie”. I jeszcze raz „nie”.

- W takim razie muszę się upewnić, czy zadaję właściwe pytanie. Na przykład, czy mam przestać cię całować?

Przewróciła oczami, darując sobie słowną odpowiedź.

Bo oboje doskonale ją znali.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

McKenzie weszła do pokoju, w którym leżała Edith. Starsza pani była pod tlenem, podłączona do kroplówki. Nadal była biała, przetykane siwizną krótkie włosy sterczały we wszystkie strony.

- Dobry wieczór, Edith. Jak się czujesz? Lepiej niż rano?

Edith sięgnęła po okulary i wzruszyła ramionami.

- Mniej więcej podobnie.

- Pojawiła się krew?

- Nie, raczej nie.

- Nie wymiotowałaś czy coś w tym rodzaju?

Pacjentka powoli pokręciła głową, jakby odpowiadanie sprawiało jej trudność.

- Wcześniej kaszlałam czymś żółtym, ale to było jeszcze przed przyjściem do szpitala.

- Zbadam cię, a potem obejrzy cię mój kolega. Znasz go, prawda? To doktor Spencer.

- Znam go. Przystojny chłopak. Pięknie się uśmiecha. Ma wesołe oczy.

Nie da się zaprzeczyć. Jednak teraz nie chciała się tym zajmować. Musi się skoncentrować na pacjentce.

- To on - odrzekła z uśmiechem.

- To pani przyjaciel?

Serce jej prawie zamarło.

Przyłożyła stetoskop do piersi Edith, zastanawiając się nad odpowiedzią. W zasadzie umówiła się z nim na randkę, ale to jeszcze nic nie znaczy.

Edith już wcześniej miała lekką arytmie, regularnie chodziła do kardiologa. Czyli te szmery to nic nowego. Może poprosi go o konsultację. Ale najpierw trzeba zrobić EKG i zbadać enzymy, na wszelki wypadek.

- Proszę nabrać powietrza. - Edith miała słabe płuca i oddy-

chała płytko. – Muszę sprawdzić, dlaczego nie dostarczono prześwietlenia płuc. Bo zostało zrobione, prawda?

– Przywieźli rentgen tutaj, zrobili mi badanie w łóżku.

Dziwne. Skoro była na tomografii komputerowej, to mogli zawieźć ją na rentgen. Dlaczego tak nie zrobili? Widocznie były powody.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się Edith.

– Jest pani w szpitalu, więc nie do końca jest dobrze. Martwi mnie ta krew, którą pani widziała. Muszę dojść, skąd się wzięła. Z przełyku? Z żołądka? Z płuc? Poza tym skarży się pani na ból. Jak go pani ocenia?

– Dwa albo trzy w dziesięciostopniowej skali.

Może niepotrzebnie skierowała ją do szpitala? Może pochopnie? Jednak intuicja podpowiadała, że z Edith nie jest dobrze. Była bledsza i wyraźnie słabsza.

– Czy teraz coś boli?

– Niespecjalnie.

– Proszę mi powiedzieć – nalegała McKenzie. – Jeśli coś panią boli czy niepokoi, to muszę o tym wiedzieć i wszystko sprawdzić, zanim wypiszę panią do domu. Muszę mieć pewność, że niczego nie przegapimy.

Ośluchiwała jej brzuch, zbadała go dokładnie.

– Nic mi nie jest. – Edith poklepała ją po dłoni. Jeszcze chwila, a powie do niej „kochanie”. McKenzie skończyła badanie, gdy do pokoju wszedł Lance.

– Witaj, ślicznotko – powitał Edith. – Co taka szykowna dama robi w tej norze?

McKenzie spojrzała w jego stronę. Chyba zwariował. Edith uśmiechnęła się szeroko.

– Taki przystojny goguś przychodzi do pracy w piżamie?

McKenzie zamruwała. Nigdy nie słyszała, żeby Edith tak mówiła. Lance roześmiał się.

– To nie piżama, a szpitalny mundurek, już o tym mówiliśmy. Miło słyszeć, że pamięć pani dopisuje.

– To ma znaczyć, że nie brakuje mi piątej klepki?

– Mniej więcej. – Lance odwrócił się do McKenzie. – Zastanawiam się, dlaczego zrobili prześwietlenie w łóżku, skoro już

była na radiologii.

- Też mnie to dziwi. Zapytam pielęgniarkę, zanim wyjdziemy ze szpitala.

- Razem? - podchwyciła Edith.

McKenzie odpowiedziała, nim Lance zdążył wtrącić coś niekoniecznie właściwego.

- Doktor Spencer kiedyś skończy pracę i pójdzie do domu, podobnie jak ja.

Ale najpierw kolacja i mrożony jogurt.

I usta-usta. Zapiękły ją policzki; miała nadzieję, że Edith tego nie spostrzegła. Zaraz zaczęłyby się nabijać z Lance'a.

- Przejrzałem badania i myślę, że po prostu potrzeba pani wakacji - oświadczył Lance.

Ku zaskoczeniu McKenzie, Edith westchnęła.

- Jak doktor mojego męża mówi, że potrzebuję wakacji, to znaczy, że jest niedobrze.

Edith od kilku lat była wdową, jej mąż zmarł mniej więcej w tym samym czasie, gdy McKenzie wróciła do Coopersville. Widać wcześniej leczyli się u Lance'a. Może Edith zmieniła lekarza, by uniknąć wspomnień?

Nic dziwnego, że Lance miał z nią dobry kontakt.

- A według pani co się dzieje? - zapytał, sięgając po stetoskop.

- Myślę, że pan i moja pani doktor coś kombinujecie.

McKenzie oniemiała. Lance uśmiechnął się.

- Kombinujemy? To tak się teraz mówi na praktykowanie medycyny?

- Nie mówię o medycynie. Pan już dobrze wie, o co chodzi - odparła, celując w niego palcem.

- A pani dobrze wiedziała, o co pytam - odparł.

Edith westchnęła, jej dobry nastrój jakby uleciał.

- Sama nie wiem. Boli mnie brzuch, ale myślałam, że to z powodu zaparcia. Ale kiedy rano zobaczyłam krew, pomyślałam, że lepiej pójdę do doktor Sanders.

- I dobrze pani zrobiła.

- Wiem. Teraz czuję się lepiej. Chyba przez ten tlen.

- Miała pani problem z oddychaniem?

- Nie aż taki. Czułam, jakby powietrze we mnie nie wchodziło.

O tym wcześniej nie wspomniała.

- Schudła pani ostatnio?

- Przy ostatniej wizycie, jakieś dwa tygodnie temu, ważyła kilogram więcej - odparła McKenzie, domyślając się podejrzeń Lance'a. - Na stopach i w kostkach są obrzęki nietworzące dołków przy ucisku, a obrączka nie zrobiła się ciaśniejsza.

Lance przystąpił do szczegółowego badania, a McKenzie zalogowała się do systemu.

- Szmyery w klatce piersiowej. Zróbmy tomografię i może też D-dimery.

Dokładnie to samo zamierzała.

- Zleciłam tomografię klatki piersiowej i BNP, a w razie gdyby BNP był podwyższony, to dodatkowo D-dimery - powiedziała. - Masz jeszcze jakiś pomysł?

- Może badanie plwociny, ale według mnie wyczerpałaś wszystko.

Ludzki organizm jest tak złożony, że zawsze można coś przeoczyć. Zwłaszcza w przypadku osoby w podeszłym wieku, takiej jak Edith.

Porozmawiali z pacjentką, potem z pielęgniarką. Okazało się, że były problemy z rentgenem, dlatego użyto przenośnego. Pielęgniarka obiecała odebrać wynik i jak najszybciej przesłać go McKenzie.

- Masz pacjenta, do którego chcesz zajrzeć? - zapytała McKenzie.

- Nie, nim przyszedłem do Edith, byłem u burmistrza.

- Aha. - Szli na parking, wiatr coraz bardziej dokuczał. - Jak się miewa?

- Jeśli nic się nie pogorszy, jutro go wypiszą do domu.

- Świetnie.

- Uratowałaś mu życie.

- Gdyby mnie tam nie było, ty byś to zrobił. Żadne halo.

- Dla niego owszem. Dla jego żony też. Są bardzo wdzięczni. On chce zabrać nas na swoją platformę na bożonarodzeniową paradę.

- Co?

- Zaprosił nas na sobotę.

- Nie ma mowy. Nie chcę iść na paradę i machać do ludzi, którzy się na mnie gapią.

Kiedyś rodzice zrobili publiczną awanturę i cała klasa gapiła się na nią, jakby to była jej wina. Od tamtej pory nie cierpiała być w centrum uwagi.

- Dobrze - odrzekł niezrażony. - Ja będę machał, a ty będziesz się na mnie gapić.

- I tym sposobem nie będą gapić się na mnie?

- Jestem pewien, że wszyscy będą oglądać burmistrza, nie nas.

- Mam nadzieję, że odmówiłeś.

- Niestety muszę cię rozczarować.

Zatrzymała się w miejscu.

- Nie zrobię z siebie widowiska.

Wystarczy jej wstydu, jakiego przez rodziców najadła się w dzieciństwie.

- Udział w paradzie robi z ciebie widowisko?

W zasadzie on ma rację, jednak...

- A gdy biegniesz w wyścigu, to ludzie się na ciebie nie gapią?

- Długodystansowe biegi nie przyciągają tłumów. - Ruszyła w kierunku samochodu.

- Sugerujesz, że powinienem przyjść i kibicować ci przy kolejnym biegu?

- Nie potrzebuję kibiców.

- A jeśli chcę ci kibicować?

Pokręciła głową. Na trasie nie chce ani jego, ani nikogo innego. Liczyć na czyjeś wsparcie, a potem przykro się rozczarować, kiedy ten ktoś się nie zjawi. Jako dziecko zbyt często tego doświadczała.

Niektórych rzeczy nie warto powtarzać.

- Chcesz przyjść na bieg, to nie ma sprawy. Ale nie jako kibic, tylko uczestnik.

Lance otworzył drzwi samochodu.

- Zapraszasz mnie do drużyny? To mi się podoba.

- To nie są biegi drużynowe.
- Nie? To może bierzesz udział nie w tych właściwych.
- Pudło. - Wsiadła i zamknęła drzwi.

Lance, śmiejąc się, okrążył samochód.

- No to układ stoi - oznajmił, zajmując swoje miejsce i zapinając pas. - Pobiegnę z tobą. Kiedy kolejny bieg?

- W sobotę rano biegłam w półmaratonie. - Zastanowiła się. - Zgłosiłam się do porannego biegu w Nowy Rok. Myślę, że jeszcze cię zarejestrują. To lokalny bieg charytatywny, więc wymagania nie są restrykcyjne.

- Dystans?

- Niezbyt duży, pięć kilometrów. Myślisz, że dasz radę? - Lance był wysportowany, ale dobra forma to nie wszystko. Uśmiechnął się lekko.

- Nie masz wyłączności do biegów.

- Nigdy nie widziałam, żebyś biegał - odparowała.

- Nigdy też nie widziałas mnie pod prysznicem, a zapewniam, że regularnie się myję.

Lance. Pod prysznicem. Nago. Woda spływająca po skórze. Przełknęła ślinę. Odepchnęła od siebie ten natrętny obraz.

- Pewnie zawsze zimny.

Jej chyba też by się taki przydał, żeby uspokoić rozbuchaną wyobraźnię.

- Tylko ostatnio. - Zaśmiał się pogodnie.

- Z mojego powodu?

- A co myślisz?

- Że nie powinniśmy prowadzić tej rozmowy. - Popatrzyła na niego, język ją świerzbiał. - Naprawdę przeze mnie musisz brać zimny prysznic?

Lance uśmiechnął się do niej.

- To tylko przekomarzanie. Od lat nie brałem zimnych pryszniców.

- W to akurat wierzę.

- Ale nie w to, że ktoś mnie nie chciał i musiałem wchodzić pod zimny prysznic?

- Wątpię, żebyś często był odrzucany.

- Często nie, ale zdarzało się.

- Dlatego jesteś tu ze mną?
- Bo mnie odrzuciłaś? - Pokręcił głową. - Jestem z tobą, bo wykazałaś się bystrością i zgodziłaś się iść ze mną na mrożony jogurt.
- I prawdziwą kolację - przypomniała. - Nie zapominaj, że najpierw masz dobrze mnie nakarmić, a dopiero potem uraczyć deserem.

McKenzie wsunęła do ust łyżkę z mrożonym jogurtem, rozkoszując się jego smakiem. Wyjęła ją, pozostawiając na ustach odrobinę kremowego specjału.

- Dobrze?

Popatrzyła na siedzącego na wprost niej Lance'a.

- A co myślisz?

- Że obserwowanie, jak jesz lody, jest niebezpieczne.

- Zagroza twojemu zdrowiu?

- Spokojowi umysłu.

- To jesteśmy kwita. - Wygięła usta w uśmiechu.

Zjedli kolację w lokalnej restauracji. McKenzie wzięła grillowanego kurczaka, brokuły i sałatkę. Tak się najadła, że najchętniej zrezygnowałaby z deseru, jednak Lance był nieugięty. Na szczęście sprawdziło się powiedzenie, że na lody zawsze znajdzie się miejsce.

Mrożony jogurt okazał się fantastyczny. Podobnie jak jej towarzysz. Bawił ją lekką rozmową. Przeskakiwali z tematu na temat, rozmawiali o sporcie, ulubionych drużynach, studiach, aktualnych programach telewizyjnych. Okazało się, że mają wiele wspólnego.

- Fajnie, że się zgodziłaś, McKenzie.

- Na mrożony jogurt?

- Na mnie.

Przełknęła porcję deseru, potrząsnęła głową.

- Na to się nie godziłam.

- Nie o tym mówię. Nie ma pośpiechu.

- Naprawdę?

Spoważniał. Po raz pierwszy.

- Masz tyle czasu, ile ci potrzeba.

- A jeśli nigdy „tego” nie zechcę?
- To wróć do zimnych pryszniców - zażartował, wsuwając do ust porcję jogurtu, najwyraźniej niezrażony jej stanowiskiem. Co ją trochę ubodło.
- Nie wskoczę dziś z tobą do łóżka.
- Nie liczyłem na to. - Nadal się uśmiechał, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie o jego życiu seksualnym czy jego ewentualnym braku.
- Ale gdybym powiedziała „tak”, wskoczyłbyś ze mną do łóżka?
- Z przyjemnością.
- Potrząsnęła głową, powoli wypuściła powietrze.
- Gdyby rano ktoś mi powiedział, że pójde z tobą na kolację, a potem na deser, tobym nie uwierzyła. Musi minąć trochę czasu, nim oswoję się z myślą, że jesteśmy razem.
- Zwykle potrzeba ci czasu, nim zaczniesz się z kimś spotykać na poważnie?
- Nie zawsze - przyznała.
- Dlaczego teraz?
- Nie wiem. Może dlatego, że wciąż mówiłam sobie, że z tobą to wykluczone.
- Z powodu pracy?
- Między innymi.
- Wyjaśnij dokładniej.
- Nie wiem, czy potrafię - przyznała. Jak może mu wyjaśnić, skoro sama do końca tego nie rozumie? Zresztą nawet gdyby mogła, to niekoniecznie chce. - Wystarczy już tej poważnej rozmowy. Opowiedz mi, jak zacząłeś przygodę z tymi widowiskami.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odprowadził McKenzie do frontowych drzwi i znów stał na jej ganku. Teraz nie zastanawiał się, czy ją pocałować, czy raczej nie. Zamierzał to zrobić.

Ale nie zamierzał wejść do niej do domu.

Nie żeby nie chciał. Chciał.

Nie żeby sądził, że ona tego nie chce.

Było inaczej. Jednak jest rozdarta i pełna wątpliwości. A zależy mu, by miała stuprocentową pewność, nim uczynią kolejny krok. Nie miał pojęcia, dlaczego McKenzie tak się waha. Oboje nie są święci, oboje nie są zainteresowani poważnym związkiem. Jednak intuicja podpowiada mu, że nie należy jej popędzać. Wszystko w swoim czasie.

McKenzie jest inna niż kobiety, które znał. I po raz pierwszy od bardzo dawna naprawdę jest oczarowany.

Może po raz pierwszy od Shelby. Poczul ucisk w sercu, jak zawsze, gdy o niej myślał. Jakim prawem podoba mu się inna kobieta? Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Odepchnął od siebie te myśli. Nie teraz, choć może powinien bezustannie mieć je w pamięci. Popatrzył w śliczne zielone oczy McKenzie. Pytające.

- No więc? - zagadnęła. - Wracamy do mojego poprzedniego pytania, co teraz zamierzasz? Prawdę mówiąc, spodziewałam się po tobie więcej.

Przełknął gulę w gardle.

- Skoro tak, to jaki powinien być ten następny krok?

McKenzie westchnęła przeciągle.

- Pocałuj mnie i miejmy to za sobą.

Przesunął palcem po jej lekko zadartym nosku.

- Jeśli tak, to idę do domu.

- Dobra. Idź. Weź prysznic. Zimny. Gorący. Letni. Jaki ci pasuje.

Nie mógł opanować śmiechu, widząc jej oburzenie.

- Tak planowałem, ale najpierw buziak na dobranoc.

- Dobrze.

Dobrze? Uśmiechnął się, słysząc jej odpowiedź. Zamknęła oczy i czekała.

Uroczo wyglądała w czapce naciągniętej na uszy i okutana szalikiem. Nie było aż tak zimno, wystarczyło lekkie okrycie. Jednak poczuł ciarki na plecach. To chyba od chłodu, nie z ekscytacji. Chyba.

- No i? - Zerknęła na niego jednym okiem. - Jeszcze trochę, a wszędzie słońce. Tracisz czas.

Znów zamknęła oko i czekała.

Lance pochylił się, ale nie dotknął ustami jej warg, lecz tylko musnął jej czoło. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego, nie odzywając się słowem.

Rozchyliła zapraszająco usta, lecz Lance się nie śpieszył. Ucałował kąciki jej oczu, policzki, niewielki fragment szyi tuż nad szalikiem. Potem kąciki ust.

McKenzie westchnęła, położyła dłonie na jego policzkach i zajrzała mu w oczy. Milcząc, wspięła się na palce, przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

Zawirowało mu w głowie, jej chyba też.

Teraz to ona go całowała. Wciąż chcąc więcej. Przyciągała go do siebie coraz bliżej. Przyłgnęła do niego.

Wiedział, że go pragnie. Jęknął. Albo zamruczał. McKenzie cofnęła się i zaśmiała.

- Co to było?

- Wołanie godowe?

- Miało mnie skłonić do zdarcia z ciebie ciuchów i rozpoczęcia godów?

- Chcesz powiedzieć, że nie podziało?

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Lepiej wracaj do domu i jeszcze to poćwicz, chłopie.

- Chyba masz rację. - Przesunął kciukiem po jej policzku. - Dzięki za dzisiejszy wieczór, McKenzie.

- Postawiłeś mi kolację i deser. Wszystko było smakowite. To ja powinnam podziękować, znowu.

- Ty byłaś smakowita.

Roześmiała się.

- Może to były resztki mrożonego jogurtu.

Lance pokręcił głową.

- Chyba nie.

Popatrzyła na niego i jej uśmiech nieco zbladł.

- Powiedz mi, że to nie jest zły pomysł.

- To?

- Nie wchodzę w poważne związki. Wiesz o tym. Już rozmawialiśmy na ten temat. Koniec nie będzie szczególnie miły.

- Wiem i to mi odpowiada. Nie mam w planach małżeństwa. Jestem od tego daleki.

- Czyli oboje wiemy, że nie powinniśmy robić sobie nadziei. To układ nie na długo i nie na poważnie.

- Oczywiście. - Tylko się całowali, a chciał dużo więcej. Pragnął jej. Jak nigdy.

Nawet wtedy, gdy był z Shelby.

Wtedy oboje dopiero wchodzili w dorosłość. Nie znali życia. Inaczej do wszystkiego podchodzili. Shelby nie zaprzętała aż tak jego umysłu, jak teraz McKenzie.

- Widzimy się rano? - zapytała, przyglądając mu się z ciekawością.

- Jasne.

- Cieszę się. - Znów się rozjaśniła.

Dała mu szybkiego buziaka i weszła do domu. Lance stał i wpatrywał się w zamknięte drzwi, zastanawiając się, w co się pakuje. Może powinien zwiewać, póki to jeszcze możliwe.

Biegła, najszybciej jak mogła, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Każda stopa stawiała taki opór, jakby ważyła tonę. Nie mogła się poruszyć. Patrzyła w dal i widziała pustkę. Ciemnoszarą pustkę.

Jeszcze raz spróbowała poruszyć nogą.

Z przerażenia krew szumiała w żyłach. Musi biec. Ale nie może. Biegnij, McKenzie, biegnij, zanim... Zanim co?

Nie wiedziała. Dokąd ma biec? A może ucieka?

Odwróciła się. Lance stał tuż za nią.

Znowu spróbowała pobiec, lecz daremnie. Ogarnęła ją despe-

racja. Musi przed nim uciec. Jak najszybciej.

Popatrzyła na swoje sportowe buty i zmartwiała. Zamiast butów i stóp ujrzała betonowe pustaki.

Co się dzieje? Obejrzała się przez ramię. Lance powoli szedł w jej stronę. Dzielący ich dystans kurczył się z każdą sekundą. Lance uśmiechnął się pogodnie i posłał jej całusa. Wezbrała w niej panika.

Wokół stali gapie, obserwując ich.

Biegnij, McKenzie, biegnij.

To robiła. Zawsze biegła. Ale nigdy nie miała zamiast stóp betonowych klocków. To bez sensu. Jak to możliwe, że ma stopy z betonu? Gdzieś w zakamarkach umysłu zamigotała myśl, że to sen. Nie może biec? Ludzie się na nią gapią?

To nie sen. To koszmar. Nawet jeśli to Lance lada moment ją dopadnie.

- Zadzwoił radiolog z wynikami Edith. - McKenzie zatrzymała się w progu gabinetu Lance'a. Siedział za biurkiem, z potarganymi włosami. Podniósł na nią oczy.

- Zator tętnicy płucnej?

- Do ciebie też dzwonił?

- Nie, ale po tym, co powiedziałaś i jak ją osłuchałem, miałem takie podejrzenie.

- Ale to nie wyjaśnia, skąd wzięła się krew. Skoro ma zakrzep w płucach, to nie powinna pluć krwią. To się nie składa.

- Masz rację. Też się zastanawiam, co jeszcze jej dolega. Posłali plwocinę na posiew?

- Tak, z samego rana. Do Edith przyjdzie dziś pulmonolog i kardiolog.

- To dobrze.

Nagle poczuła się nieswojo, stojąc w drzwiach jego gabinetu. Co jej przyszło do głowy, by do niego przychodzić i relacjonować wyniki Edith?

Chyba w ogóle nie myślała.

Mogła wysłać mu je esemesem.

Uległa gwałtownej pokusie, by mu o nich powiedzieć, zobaczyć go, podzielić się obawami dotyczącymi stanu Edith. Lubiła

starszą panią, a Lance też miał do niej słabość.

- Hm, pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. To już ci nie przeszkadzam - powiedziała, robiąc krok do tyłu, jeszcze bardziej zakłopotana.

- Dzięki, McKenzie.

- Nie ma sprawy. - Odwróciła się, chcąc zniknąć.

- McKenzie?

Serce załomotało jej w piersi. Odwróciła się powoli.

- Tak?

Przytrzymał jej spojrzenie.

- Kolacja wieczorem, w razie gdybyśmy wcześniej się nie widzieli?

Spłynęła na nią ulga.

- A jeśli zobaczymy się wcześniej, to co? Nie dostanę kolacji? Tylko deser czy coś takiego?

Uśmiechnął się do niej.

- Trzymasz mnie w ryzach.

Czekała, aby to sprecyzował.

- Niezależnie od tego, czy zobaczymy się wcześniej, chcę zabrać cię na kolację. A jak już wiesz, na deser też jestem dobry.

- No to ustalone - przystała, zastanawiając się w duchu, dlaczego ta propozycja tak ją ucieszyła. Lance od dawna próbował się z nią umówić, lecz zawsze odmawiała. Dlaczego teraz, gdy nabrała ochoty, bała się, że więcej jej nie poprosi?

- Świetnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Pogadamy o strojach na paradę. Myślę, że powinnaś wystąpić jako seksowny elf.

- Seksowny elf? - Lance dużo bardziej niż ona nadawał się do tej roli. Może to on powinien przebrać się za elfa? - Nie powiedziałam, że wezmę udział w paradzie.

- To fajna zabawa. Tematem przewodnim będzie bajka o marudnym chłopcu, który nie cierpiał Bożego Narodzenia, ale mała dziewczynka uświadomiła mu, czym naprawdę są święta. To idealne przesłanie.

- Mam nastroszyć włosy, założyć sztuczne uszy i długi nos, żeby wyglądać jak elf? - zapytała z udawanym ożywieniem.

- Owszem. I jaskrawy strój.

Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

- Też tak się przebierzesz?

- Niekoniecznie. Natapiruję włosy, ale ubiorę się kolorowo, jeśli to ci sprawi przyjemność.

Nieźle się zapowiada. Skoro on się przebierze, to ona też to zrobi. Zwłaszcza że ma tajną broń, czyli Cecilię. Wybierze jej kostium i dobrze makijaż.

- No dobrze. W takim razie zapisz mnie na to radosne wydarzenie.

Cecilia nie zawiodła. Ze skupioną miną krążyła wokół McKenzie.

- Do fryzury wykorzystamy druczane rusztowania - mówiła, przyglądając się włosom McKenzie. - I dużo lakieru, żeby wszystko dobrze się trzymało.

- A kostium?

- Bez wydziwiania, tak będzie najlepiej. Masz niecały tydzień na przygotowanie, więc nie ma co się przejmować. Burmistrz z pewnością nie oczekuje wyjątkowego stroju.

- Lance powiedział, że powinniśmy się przebrać.

W oczach Cecylia zamigotały żywe iskierki.

- A jak tam z naszym doktorkiem? Dobrze?

- I to bardzo.

Cecilia popatrzyła na nią z ciekawością.

- Pocałowałam go. Stało się. I muszę powiedzieć, że zna się na rzeczy.

Cecilia westchnęła z jawnym rozczarowaniem.

- Tylko się całowaliście?

Nie zamierzała wyjaśniać, że to było coś wyjątkowego. Wzruszyła ramionami.

- Do tej pory spotkałam się z nim dopiero trzy razy, z czego jeden, na imprezie bożonarodzeniowej, się nie liczy, ale skoro potem mnie pocałował, to niech będzie. - Dlaczego mówi z takim przejęciem? - Według ciebie już powinnam zaprosić go do łóżka?

- Gdyby na mnie jakiś przystojniak patrzył tak jak on na ciebie, to już dawno bym to zrobiła.

- Nie ma pośpiechu.

- Nie? Zaczynam się martwić.
- O mnie? Dlaczego?
- Bo wciąż budujesz mur między nim a sobą. Nie mogę pojąć, co tobą kieruje.

McKenzie rozejrzała się po salonie. Bev, właścicielka, zajmowała się klientką o niebieskawych włosach, dwie stylistki i manikiurzystka wyszły na lunch. Nikt nie zwracał uwagi na jej rozmowę z Cecilią. Dzięki Bogu.

- Ile razy mam ci to powtarzać? Pracuję z nim. To komplikuje sprawę.

Cecilia nie dała się zwieść.

- Nie przesadzaj.
- Wyszukuję nieistniejące problemy?
- Tak myślę. Pytanie tylko dlaczego. Nie idziesz do łóżka z każdym i na pewno nie po drugiej randce, ale między wami jest chemia. Między wami aż iskrzyło, sama to czułam. Jestem twoją przyjaciółką i zastanawiam się, dlaczego tak się opierasz?

Hm, Cecilia ma rację. Z drugiej strony nie miała w zwyczaju wiązać się z kimś na dłużej. Lance jest... inny niż ci, z którymi do tej pory się spotykała. Nie tylko dlatego, że razem pracują.

- On ci się podoba, prawda?

- A co w nim może się nie podobać?

Twarz Cecylii rozjaśniła się w uśmiechu.

- No nie. Nawet nie zaprotestowałam. Zawojował cię. Może zechcesz zatrzymać go na dłużej.

- Tego się boję. - Bo gdy Lance się znudzi i zdecyduje zakończyć ten układ, może być jej ciężko. Może lepiej w ogóle nie zaczynać.

Bawiła się kosmykiem włosów.

- Czyli w sobotę rano przerobisz mnie na elfa, a potem zrobisz ze mnie boginię na gwiazdkowe przyjęcie w szpitalu?

- Oczywiście. Będę twoją dobrą wróżką. - Cecilia przyjrzała się jej z zaciekawieniem. - Dobrze rozumiem, że idziesz z Lance'em?

McKenzie skinęła głową. Kilka razy ją o to zagadywał, wreszcie się zdecydowała. Przecież i tak by się tam spotkali, więc po co miałyby wytykać jej upór?

Popatrzył na McKenzie. Wyglądała jak postać z bajki. W zabawnie nastroszonych włosach migotały kolorowe światełka, przyciągając uwagę ludzi zgromadzonych wzdłuż trasy parady. Do tego wymyślny makijaż, sukienka z czerwonego aksamitu wykończona białym futerkiem, białe pończochy i wysokie do kolan kozaki ozdobione jaskrawymi kokardami.

Idealnie wpisywała się w bajkową scenografię trasy. Nikt by się nie domyślił, że do zespołu burmistrza dołączyła w ostatniej chwili. Według Lance'a jej kostium był najlepszy, choć zdawał sobie sprawę, że w tej ocenie nie jest obiektywny. Burmistrz z żoną machali do mieszkańców.

- Powiedz, że dla ciebie to nie jest najważniejsze wydarzenie roku.

- To nie jest dla mnie najważniejsze wydarzenie roku. - Uśmiechała się i rzucała dzieciom cukierki. - Dzięki, że pomyślałeś o cukierkach. Skąd wiedziałeś?

- Bo dla mnie zawsze najlepsze było łapanie cukierków.

- Aha.

Coś w jej tonie dało mu do myślenia. Skąd ten nagły smutek?

- Rodzice nie pozwalali ci brać cukierków od obcych? - Starał się, by to zabrzmiało lekko. - Właściwie jak się zastanowić, to powinienem pogadać z moimi na ten temat.

- Na każdej platformie jest wypisane, kto się nią porusza, więc nie bierzesz słodyczy od obcych. Odpowiadając na twoje pytanie, nic takiego nie było. To moja pierwsza świąteczna parada.

- Co?

McKenzie wychowała się w Coopersville. Gwiazdkowa parada zawsze była wydarzeniem roku. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej jej nie oglądała?

- Przecież słyszałeś, elfie.

- Jakim cudem nigdy nie byłeś na paradzie, skoro tu się wychowałeś?

- Po prostu nie byłem. To nic takiego.

Jednak jej ton mówił coś innego.

- Twoi rodzice nie obchodzili świąt? - Tak bywa. Jego matka

uwielbiała święta, więc nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógłby ich nie obchodzić, ale zdarzają się i tacy.

- Obchodzili. Tylko na swój specyficzny sposób.

To wyjaśnienie jeszcze mocniej pobudziło jego ciekawość, lecz nie chciał drążyć tematu, widząc, że McKenzie traci humor.

- Ale bez parad i łapania cukierków?

- Właśnie.

- Jasne.

- Widziałam w tłumie kilka osób z pracy. Patrz, tam stoi Jenny Westman z księgowości. Z dziećmi.

Uśmiechnęła się, pomachała do nich i rzuciła w kierunku dzieciaków garść cukierków.

- Widzę. - Rzucił im paczuszki z gumą do żucia. Z uśmiechem obserwował, jak po nie biegną. - Udane szkraby. Chyba nas poznała.

McKenzie nie przestawała machać do mieszkańców. Kiwnęła głową.

- Domyślam się, że wszyscy komentują fakt, że jesteśmy tutaj razem.

- Codziennie chodzimy razem na kolację. Wszyscy i tak już o nas gadają.

- Chyba tak.

- A ci, którzy jeszcze tego nie robią, zaczną po dzisiejszym przyjęciu w szpitalu.

- Dlaczego? Niby co się dzisiaj wydarzy?

- Idziesz ze mną. Pamiętasz?

- Pamiętam. Myślałam, że masz na myśli coś więcej.

- Coś więcej? McKenzie, randka ze mną to jest coś więcej.

- Wmawiasz sobie - odparła, nadal się uśmiechając, choć jakby trochę inaczej. Patrzyła na niego z promienną miną.

- Wyglądasz świetnie.

- Dzięki. To zasługa Cecylia. Od siódmej rano mnie przygotowywała. Te światełka jakoby są bezpieczne. Bałam się, że podpalą mi włosy.

- Wyglądasz fantastycznie. Cecilia wspaniale się spisała.

- Uhm. Pracuje w salonie Bev's Beauty Boutique. Mówię to, gdybyś chciał się stylowo ostrzyć czy zainstalować światełka

w doczepionych włosach.

- Będę mieć to na uwadze. - Ujął ją za rękę i uściskał. - Cieszę się, że się zgodziłaś.

Nie patrząc na niego, przyznała:

- Ja też.

Gdy dojechali do końca trasy, podeszli do nich burmistrz i jego żona.

- Dziękuję, że zechcieliście państwo być moimi honorowymi gośćmi - mówił burmistrz słabym chrapliwym głosem. Uściskał dłoń Lance'a.

- Przyjemność po naszej stronie - odrzekł Lance.

Lubił burmistrza i głosował na niego w ostatnich wyborach. W szpitalu kilka razy do niego zaglądał.

Burmistrz zwrócił się do McKenzie.

- Dziękuję za uratowanie życia. Gdyby nie pani, w naszym domu nie byłoby świątecznego nastroju.

McKenzie zaczerwieniła się z wrażenia.

- Doktor Spencer zrobił tyle samo co ja. Tak samo pana ratował.

- To pani przywróciła mnie do życia. Doktor Spencer mówił, że to tylko dzięki pani jestem na tym świecie.

McKenzie zerknęła na Lance'a pytająco. Lance puścił oko.

- Jeżeli moglibyśmy coś zrobić - odezwała się żona burmistrza - to proszę dać znać. Jesteśmy państwu dozgonnie wdzięczni. Jesteście naszymi świątecznymi aniołami.

- Dziękujemy - odpowiedzieli zgodnie.

- Wyjątkowy kostium - pochwaliła żona burmistrza, zwracając się do McKenzie.

Porozmawiali przez chwilę z pozostałymi gośćmi, po czym odeszli na bok.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym wpaść do Cecylii.

- Nie ma sprawy. Muszę jej podziękować, że dzięki niej wyglądasz tak fajnie.

McKenzie skrzywiła się lekko.

- Dla kobiety to nie jest najlepsze określenie.

- Już mówiłem, że jesteś piękna, seksowna, ponętna, inteli-

gentna, błyskotliwa, zachwycająca, zapierająca dech...

- Możesz przerwać w dowolnym momencie - weszła mu w słowo ze śmiechem.

- Wyjątkowa... - Wziął ją za rękę i nie puszczał. Trzymał ją tak przez całą drogę do salonu Bev.

- O Boże, patrzcie no! - Bev przywitała ich chropawym od papierosów głosem.

Lance miał okazję spotkać ją raz czy dwa na akcjach charytatywnych. Sympatyczna, choć tak przesiąknięta zapachem papierosów, że się cofnął. Z dwiema innymi paniami stała przed zakładem i obserwowała paradę.

- Cecilia, przeszłaś samą siebie! McKenzie, wyglądasz bosko!
- Popatrzyła na Lance'a. Też miał dopięte uszy i długi nos. - A ten! Bardziej gorący niż asfalt w Georgii w połowie lipca.

McKenzie zaśmiała się, słysząc to porównanie. Lance z uśmiechem podziękował za komplement.

- Przepięknie wyglądasz - zachwycała się Cecilia, przyglądając się przyjaciółce. Wyjęła komórkę. - Muszę cię sfotografować.

- Przecież zrobiłaś zdjęcie dziś rano.

- Tak, ale tylko tobie. Chcę mieć was oboje.

McKenzie z ociąganiem przyjęła pozę do zdjęcia. Przyciągnęła Lance'a bliżej siebie.

- Ty też. Słyszałeś, co powiedziała. Chce uwiecznić nas razem. Czyli nie ma wyjścia.

Lance się nie opierał. Otoczył McKenzie ramieniem i uśmiechnął się do obiektywu. Cecilia pstryknęła kilka fotek. Ich pierwsze wspólne zdjęcia. Czy będą następne?

- Zróbcie coś jeszcze, bo tylko się uśmiechacie - zarządziła Cecilia.

Lance odwrócił się do McKenzie. Spojrzała na niego, wzruszyła ramionami i sięgnęła po gałązkę jemioli, którą było przybrane wejście do salonu. Trzymając ją w dłoni, przechyliła się w stronę Lance'a i spoglądając na Cecilie, cmoknęła go w policzek.

Zamurowało go, ale błyskawicznie się pozbierał. Wskazując na jemiolę, z uśmiechem pozował do kilku ujęć, śmiejąc się przy

tym z egzaltacją. Panie przed salonem przyjęły to z entuzjazmem, kilkoro dzieci też chciało zrobić sobie z nimi fotki. Zwłaszcza z McKenzie.

- To twoje prawdziwe włosy? - zapytała mała dziewczynka, wlepiając wzrok w światła migoczące wokół głowy McKenzie.

- Częściowo, ale zwykle ich tak nie czeszę. Tylko na wyjątkowe okazje.

- Tak jak na paradę?

- Właśnie.

Na pożegnanie uścisnęła przyjaciółkę, jeszcze raz dziękując za pomoc.

- Nie zapomnij podesłać mi tych zdjęć.

- Może kiedyś poproszę cię o pomoc przy imprezie charytatywnej, bo jesteś naprawdę świetna - pochwalił Lance.

- Dzięki. - Cecilia rozpromieniła się.

Parada się skończyła i zebrani zaczęli się rozchodzić. Do salonu przyszli klienci.

- Co teraz? - zapytała McKenzie. Oczy błyszczały jej radośnie.

- Co tylko zechcesz.

Roześmiała się.

- Chciałabym wymyślić coś szatańskiego i piekielnego.

Wziął ją za rękę odzianą w rękawiczkę.

- Nie boję się.

- A powinieneś.

Wyglądała uroczo. Wcale nie jak z piekła rodem. Uniósł jej dłoń i pocałował.

- Nie skrzywdziłabyś muchy.

- Oczywiście, że tak - odparowała. - Nie lubię much.

- Diabelska zabójczyni much. No dobrze. To chodźmy na gorącą czekoladę i rozejrzyjmy się po straganach.

- Świetny pomysł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Wyglądałaś dziś fantastycznie - powiedziała Cecilia, wprawnie podkreślając kredką kształt brwi McKenzie.

- Dzięki tobie, to ty mnie tak wspaniale umalowałaś na paradę - odparła McKenzie, starając się nie poruszyć.

- Wyszło nieźle, fakt. Choć było przy tym sporo roboty.

- No. Miejmy nadzieję, że na wieczór też zrobisz mnie na bóstwo.

- Na to przyjęcie? - upewniła się Cecilia.

- Tak. - Popatrzyła na przyjaciółkę. - A co?

- Nigdy dotąd nie prosiłaś, żebym malowała cię na służbową imprezę.

- Teraz jest inaczej.

- Z powodu Lance'a?

Z powodu Lance'a. Tak jak wszystko w tym tygodniu. Uśmiechy. Gorące pocałunki. Ekscytujące oczekiwanie i rozmyślanie, czy wieczorem zdarzy się coś więcej.

- Chyba tak. Co w tym złego, że chcę wyglądać jak najlepiej?

- Zależy w jakim celu.

- No, jest przyjęcie świąteczne.

- Uhm. Dzień w dzień chodzisz z nim na kolacje, razem byliście na paradzie, idziesz z nim na przyjęcie. Jak na ciebie to bardzo dużo. Co się zmieniło?

- Nic.

- Coś musiało się zmienić. Jeszcze parę dni temu odrzucałaś jego propozycje.

- Sama powiedziałaś, że powinnam się z nim umówić. Że zachowuję się idiotycznie.

- Bo tak było. Wygląda na fajnego. Wesoły, przystojny i ma fioła na twoim punkcie. On mi się podoba.

- Widziałaś go dopiero dwa razy.

- Za pierwszym razem pomógł uratować człowiekowi życie,

a teraz wprowadził cię w taki radosny nastrój, w jakim od lat cię nie widziałam. Na twoim miejscu wykorzystałabym jemiołę do czegoś więcej niż buziak w policzek.

- W to nie wątpię.

- Ale tobie to wystarcza?

Przyjaźniły się od lat, przyjaciółka znała jej sekrety.

- Nawet gdybyś mi nie powiedziała, że się całowaliście, i tak bym wiedziała.

- Niby skąd?

- Po prostu bym wiedziała. Tak jak wiem, że jeszcze się z nim nie przespałaś.

Cecilia aż tak dobrze ją zna?

- Skąd wiesz?

- Nie mam racji? - rzuciła Cecilia.

- Masz - przyznała. - Między nami do niczego nie doszło.

Zresztą Lance wcale do tego nie dążył. Co ją dziwiło.

- Napięcie między wami aż buzuje.

- Napięcie?

- Seksualne napięcie. Można je kroić nożem.

Aha. Tym trudniej pojąć, dlaczego Lance jest taki wstrzemięzliwy.

- Widzę, że nie zaprzeczasz.

- Bo po co?

- No właśnie. - Cecilia znów się cofnęła, z uśmiechem popatrzyła na przyjaciółkę. Podała jej lusterko, by McKenzie mogła sama ocenić efekt. - Idealnie.

McKenzie spojrzała na swoje odbicie. Zwykle poprzestawała na wytusowaniu rzęs i muśnięciu ust błyszczącym. Teraz prawie nie mogła siebie poznać. Cecilia dokonała prawdziwego cudu. Wyglądała obłędnie.

- Niesamowite!

- O co się zakładamy, że Lance odpuści przyjęcie i zostanie u ciebie?

- Nie ma mowy. - Żadne z nich do tego nie dążyło. Jednak mimowolnie poczuła się podekscytowana. - Pomożesz mi z sukienką?

- Jasne. Chętnie zobaczę, co włożyłaś pod spód.

- Słucham?

- Przecież słyszałaś. Po bieliźnie poznam twoje zamiary.

McKenzie westchnęła i zdjęła szlafrok.

Cecilia z uśmiechem zatarła ręce.

- No i o tym mówiłam.

- To nic nie znaczy.

- Oczywiście. Ale dlatego nie włożyłaś babcinych majtasów.

McKenzie pokazała jej język.

- Nigdy nie noszę babcinych majtasów.

- Ale też zwykle nie nosisz seksownych stringów.

- Bo lepiej pasują do tej sukienki. Nie odznaczają się.

Cecilia roześmiała się bezczelnie.

- Wmawiaj to sobie do woli.

- No i dobrze. A ty myśl sobie, co chcesz.

Cecilia znowu się zaśmiała.

- Ubieraj się, bo muszę poprawić ci włosy, a chcę się ulotnić przed przyjściem cudownego doktora.

- Nie jest aż taki cudowny.

- Oczywiście, że jest. Dlatego jesteś kłębkim nerwów, dlatego włożyłaś stringi i dobrany do nich biustonosz.

Cecilia ze śmiechem pomogła jej włożyć połyskującą zieloną sukienkę.

- Najlepsza przyjaciółka darowałaby sobie takie uwagi - zauważyła McKenzie. - Jeszcze mogę zamienić cię na mniej irytujący model.

Cecilia skwitowała to dźwięcznym śmiechem.

- Mówiłem ci, że wyglądasz pięknie?

- Jakieś kilkanaście razy. - McKenzie przesunęła po nim spojrzeniem. Czarny garnitur leżał tak znakomicie, że pewnie był szyty na miarę. Miękko układające się włosy, błysk w oczach, usta uśmiechnięte. Ideal. - Mówiłam ci, jak świetnie ci w tym garniturze?

- Raz czy dwa. - Uśmiechnął się szeroko. - Wszyscy faceci teraz mi zazdroszczą.

- Akurat.

- Naprawdę. Wyglądasz oszałamiająco.

- To dzieło Cecylii. Potrafi zdziałać cuda. Bez jej czarodziej-
skiej różdżki nic by z tego nie było - dodała, wskazując na
twarz i włosy.

- Twoja dobra wróżka, co?

- Przez cały tydzień tak do niej mówię.

- Rzeczywiście ma talent - przyznał. - Choć ty zawsze jesteś
piękna.

- O nie. Dla ciebie dość już tego wzmocnionego ponczu. -
Udała, że sięga po jego kieliszek, lecz Lance trzymał go poza jej
zasięgiem.

- Naprawdę jest wzmocniony?

- Wszystko na to wskazuje, bo wciąż mnie komplementujesz.

Uniósł brwi, upił łyk ponczu.

- Nie wydaje mi się.

Gwiazdkowe przyjęcie odbywało się w miejscowym hotelu.
Bawiło się około dwustu osób, sala rozbrzmiewała wesołym
gwarem. Kilka osób pochwaliło ich wygląd i wcześniejszy udział
w paradzie. Niektórzy nie kryli zaciekawienia, po raz pierwszy
widząc ich razem.

McKenzie nie czuła się z tym szczególnie komfortowo, choć
wiedziała, że przecież tak będzie. Świadomie na to przystała.
Niektóre panie zerkwały na nią z zazdrością. Nie dziwiło jej to.
Lance prezentował się wspaniale. Przystojny, wesoły, inteligent-
ny i czarujący. Zdawał się nie widzieć tych spojrzeń, całkowicie
skupiając się na McKenzie i jej potrzebach. Hm, nie wszystkich.

Bo wciąż myślała o sugestiach Cecylii i jej przekomarzeniach.
To prawda, że sukienka opinała jej figurę, ale niżej była rozkło-
szowana. Nie musiała wkładać najseksowniejszej bielizny. Wło-
żyła ją, bo...

- Po raz pierwszy się nie uśmiechasz - wyszeptał tuż przy jej
uchu.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się natychmiast. - Zamyśliłam
się.

Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę parkietu.

- Zatańczymy?

- Już myślałem, że nigdy nie zapytasz - droczył się, prowa-
dząc ją na parkiet. - Przez cały wieczór marzyłem, żeby cię

wziąć w ramiona.

- Wystarczyło poprosić.

- Trochę się obawiałem konsekwencji, kiedy będę cię mieć tak blisko.

- Konsekwencji? - Popatrzyła mu w oczy, nagle ją olśniło. - Aha.

- No właśnie.

- Dobrze, że kobiety nie muszą się martwić o takie rzeczy. - Przytrzymał jej spojrzenie. - Dla ciebie to byłby problem?

- Nie jestem chłodna, jeśli to miałeś na myśli.

- Nie to, ale dobrze wiedzieć. - Przyciągnął ją bliżej, poruszali się w rytm muzyki.

- Pięknie pachniesz - powiedziała, starając się zwalczyć pokusę, by wtulić twarz w jego szyję.

- To samo myślałem o tobie. Co to za perfumy?

- Cecilia mnie czymś spryskała. Nie wiem, jak się nazywają. Powiedziała tylko, że na sto procent doprowadzą cię do szaleństwa i oczywiście zrobiła to dopiero po fakcie.

Przesunął twarzą po jej włosach.

- Miała rację.

- Czujesz się trochę szalony?

- Kiedy jesteś tak blisko? Tak.

Roześmiała się.

- Powiem jej, że perfumy zadziałały.

- I to jak. - Gładził ją po plecach. - Przed chwilą myślałaś o ludziach z pracy?

Wiedziała, o co mu chodziło, jednak teraz pochłaniało ją coś zupełnie innego - wciąż zastanawiała się, jak może się zakończyć dzisiejszy wieczór. Trudno przewidzieć, czy między nimi do czegoś dojdzie, ale na wszelki wypadek starannie się przygotowała. Kosmetyki, perfumy, seksowna bielizna...

Przez cały tydzień Lance odprowadzał ją do domu, ale po-przestawał na gorących pocałunkach. Ona nie zapraszała go do środka, a on się nie wpraszał. I z każdym dniem chciała czegoś więcej.

Nie miała pojęcia, dlaczego jest taki powściągliwy. Żegnał się z nią na ganku, nigdy nawet nie przestąpił progę.

Dziś wieczorem może być podobnie. Cóż, trudno. Jednak podczas parady i później, kiedy włączyli się od straganu do straganu, coś się między nimi zmieniło. Przez cały tydzień czuła tę nadchodzącą zmianę. A kiedy przyjechał po nią i nie ukrywał zachwytu dla jej wyglądu, a ona witała go z rozanieloną miną, zapragnęła bliskiego kontaktu. Pragnęła Lance'a.

- Nic nie mówisz. Powinienem się martwić?

- Nie. Porwał mnie taniec.

- Żałujesz?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

- Czego?

- Że przyszedł tu ze mną.

- Jeszcze nie.

Zaśmiał się.

- To może się zmienić?

- Zależy, jak się zachowasz teraz i potem, kiedy stąd wyjdziemy.

- Czyli powinienem zachować się jak najlepiej?

- Mniej więcej.

O to nie musiała się martwić. Lance zawsze zachowywał się jak należy. Zawsze uśmiechnięty i chętny do pomocy. Nigdy nie trzeba było go do tego namawiać. Jakby czynienie dobra było jego życiową misją.

Zatańczyli jeszcze kilka utworów. Gdy muzyka ucichła, prowadzący imprezę rozdał nagrody dla wylosowanych gości, a potem poprosił na scenę doktora Spencera.

Lance popatrzył na McKenzie.

- Wiesz, o co chodzi?

McKenzie pokręciła głową. Nie miała pojęcia.

Ciągnąc ją za rękę, Lance podszedł do zaimprovizowanej sceny. McKenzie w ostatniej chwili zdołała uwolnić dłoń. Nie ma mowy, by weszła z nim na podium. Nie wiadomo, po co go wzywano. Może wygrał specjalną nagrodę czy coś takiego?

- Mała ptaszyna powiedziała mi, że chce pan nam zaśpiewać.

Lance spojrział na McKenzie, lecz ta pokręciła głową. Nie ona była tą ptaszyną. Lance, zawsze gotów się bawić, z uśmiechem wzruszył ramionami i podał tytuł utworu. Zabrzmiały pierwsze

dźwięki. Lance z mikrofonem w dłoni podszedł do McKenzie i wziął ją za rękę.

- Zaśpiewamy razem.

Serce jej zamarło. Potrząsnęła głową.

- Chodź - zachęcał. - Nie wstydź się. Zaśpiewajmy razem, będzie zabawnie.

Zebrani poparli go gorąco. Lance nie puszczał jej dłoni.

Musi wejść z nim na scenę i śpiewać. Z Lance'm.

Nie umie śpiewać. Zamknęła oczy. Cudowny wieczór zmienił się w koszmar. I to Lance jest temu winny.

Od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Jednak było za późno, żeby się wycofać. McKenzie zaśpiewa albo zostanie uznana za drętwusa, a przecież to nieprawda.

Widział panikę w jej oczach, i jeszcze coś, czego nie umiał nazwać. Fatalnie namieszał.

McKenzie z wymuszonym uśmiechem weszła z nim na scenę. Nie puszczał jej dłoni. Uścisnął ją, dodając otuchy. McKenzie nawet na niego nie spojrzała.

Lance zaczął śpiewać, McKenzie ledwie nuciła pod nosem. Na szczęście zebrani im wtórowali, więc może nikt niczego nie zauważył. Gdy skończyli, popatrzyła na niego złowrogo.

- Zapamiętaj sobie, że ja nie śpiewam, i jeśli coś takiego powtórzysz, to będzie ostatni raz.

- No co ty, przecież śpiewałaś. - Starał się podchodzić do sprawy pogodnie. Ale był też gotów do przeprosin, jeśli zajdzie potrzeba. - Uważam, że świetnie ci poszło.

- Twoja opinia się nie liczy.

- Uff. - Przytknął rękę do serca, jakby zadała mu bolesny cios.
- Moje referencje twierdzą co innego.

- Naprawdę powinieneś dać sobie spokój z tymi referencjami.

- Albo używać ich jako tarczy.

- Nie każdy lubi być w centrum zainteresowania.

- Powiedz prawdę. Czy to nie było fajne znaleźć się na scenie? Ani trochę?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Dla mnie to było straszne. - Szli na parkiet, McKenzie wciąż

spięta. – Nie lubię, kiedy ludzie się na mnie gapią. Mam złe wspomnienia z dzieciństwa.

Nawet nie przeszło mu przez myśl, że to może się jej nie spodobać. Egoistycznie chciał mieć ją przy sobie.

– Przepraszam. Gdybym wiedział, nigdy bym tego nie zrobił. Nie chciałem sprawić ci przykrości, przeciwnie.

– Wiem. Ale na przyszłość nie wkręcaj mnie w takie historie. Mam za dużo złych wspomnień.

– Jakich?

– Moi rodzice wpadali w furję i darli się na siebie. Często w miejscach publicznych. Ludzie gapili się na mnie, a ja czułam się upokorzona i zawstydzona.

– Współczuję ci, że musiałaś przez to przechodzić, i że te wspomnienia odżyły. Ale przecież się uśmiechałaś.

– Tylko na pokaz.

– Aha. – Przyłożył dłoń do serca, jakby znów dostał cios. – To fatalne dla mężczyzny, gdy kobieta musi udawać.

– Właśnie. Dlatego nie doprowadzaj do sytuacji, żebym musiała coś udawać – mówiąc, uśmiechała się lekko. – Nie śpiewam. W zasadzie nie tańczę. Zapamiętaj to sobie.

Przygarnął ją do siebie.

– Tańczysz całkiem nieźle. Ale tak czy inaczej zapamiętam: żadnego śpiewania i nie za dużo tańca.

– Bardzo dobrze.

– A żeby było jasne: jeśli dojdzie do konkretnej sytuacji, nie będziesz musiała niczego udawać.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego zuchwale.

– Taki jesteś pewien?

– Tak. Bo użyję wszystkich umiejętności, energii i siły woli, żebyś padła z wrażenia – wyszeptał tuż przy jej uchu. – Chcę widzieć twoją przyjemność, poczuć ją.

– Zapowiada się... nieźle.

– Pragnę cię, McKenzie. Nie nalegałem, bo wiem, że masz mieszane uczucia, ale gdy będziesz gotowa, chcę się z tobą kochać. Nie będę tego ukrywać.

– Seks. Chodzi ci o seks – sprostowała, opierając czoło o jego brodę. – Dam ci znać, kiedy będę gotowa.

- Będę czekać.
- Nie podniecaj się.
- To ty uważaj. - Popatrzyła na niego. - Pocałuj mnie, McKenzie.

- Tutaj? Teraz? Na parkiecie? Gdy wokół są ludzie? Chyba zwariowałaś?

Rozejrzał się po sali. Pary wirowały w tańcu, niektóre się całowały. Z jednej strony kilka pań tańczyło w kółeczku. Nikt nie zwracał na nich uwagi. McKenzie podążyła za jego wzrokiem, jednak pokręciła głową.

- Nie. Nie należę do tych, którzy publicznie okazują uczucia.
- Pocałowałaś mnie przed salonem piękności.
- To było co innego.
- Dlaczego? Na ulicy, w dziennym świetle, przy ludziach.
- Nie umiem ci tego wyjaśnić, ale było inaczej. Nie namawiaj mnie, proszę.

Westchnął.

- To chyba i tak nie byłby dobry pomysł, żebyś mnie teraz całowała.

- Dlaczego?

Nie wie, jak na niego działa? Ile go kosztuje, by nie porwać jej w ramiona, wynieść stąd i zaszyć się w ustronnym miejscu, wsunąć palce pod tę lśniąca zieloną sukienkę!

- Już chyba mówiłem, jak bardzo cię pragnę.
- Ale... och. - Jej oczy zrobiły się okrągłe.
- No właśnie.

Ku jego zaskoczeniu odprężyła się i chyba się zaśmiała. Dałby głowę, że tak było. Otoczyła mu szyję ramionami i ku absolutnemu zaskoczeniu musnęła ustami jego wargi. Pocałunek trwał mgnienie, lecz pod nim nogi się ugięły.

- Widzisz - szepnęła drwiąco. - Pocałowałam cię publicznie.
- Nie wiem, dlaczego zmieniłaś zdanie, ale dzięki. - W jej oczach lśniły swawolne ogniki. - Choć mógłbym pomyśleć, że chciałaś postawić mnie w niezręcznym położeniu.

Znowu się zaśmiała.

- Po tym, jak wyłożyłaś mi istotne różnice między reakcjami naszych organizmów?

- Owszem, jesteś do tego zdolna.

Oczy jej błyszcząły.

- Zdziałało?

Przygarnął ją mocno, żeby sama się przekonała.

- Chyba tak - stwierdziła.

- Chyba? - Potrząsnął głową, przesunął palcem po policzku McKenzie.

Przetańczyli jeszcze kilka utworów. McKenzie świetnie sobie radziła. Ze śpiewem też by jej dobrze szło, gdyby miała więcej wiary w siebie.

- Lance? - Wtuliła się w niego ze śmiechem.

- Tak? - Cmoknął ją w czubek głowy. Było przepięknie, cudownie.

- Jestem gotowa.

- Już? - Liczył, że zostaną do końca, ale jeśli McKenzie ma dosyć, odwiezie ją do domu. Spojrzał w jej szmaragdowe oczy i oniemiał. - Naprawdę?

Skinęła głową.

- Chodźmy po płaszcze.

- Tak, proszę pani.

- Co za maniery! - pochwaliła.

Lance uśmiechnął się.

- Poczekaj, aż pokażę ci, w czym jeszcze jestem dobry.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie miała pojęcia, dlaczego czuje się taka spięta. Wprawdzie od jakiegoś czasu była sama, jednak lubiła seks. Skąd więc to zdenerwowanie?

Bo jednoznacznie zgodziła się na seks!

Czy nie dlatego wystroiła się w tę sukienkę, zadbała o makijaż i fryzurę, wybrała najseksowniejszą bieliznę? Czy w skrytości ducha nie marzyła o chwili, kiedy Lance ją z niej ściągnie, obsypie pocałunkami skórę, zanurzy palce w jej włosy, doprowadzi do szaleństwa?

Lance, który we wszystkim jest doskonały.

Wygląda perfekcyjnie.

Tańczy perfekcyjnie.

Leczy perfekcyjnie.

W seksie jest też perfekcyjny?

Oto pytanie. Starła się nie odrywać oczu od drogi, nie patrzeć na niego. Lance również koncentrował się na drodze i nie próbował zagadywać, co jej odpowiadało. Też był pochłonięty swoimi myślami. Jak ona.

O czym teraz myśli? O seksie? Z nią?

Czasami zastanawiał ją jego upór. Od tygodni bezskutecznie próbował się z nią umówić. Czemu nie poszukał innej, bardziej chętnej?

Ha! Dzisiaj to ona była chętna. Praktycznie sama się na niego rzuciła. Gdy zrozumiał, co miała na myśli, z błyskiem w oczach natychmiast wziął ją za rękę i pociągnął do szatni. Z nikim nawet się nie pożegnał.

Nabrała powietrza. Lance zerknął na nią.

- Masz wątpliwości?

- Nie, ale czuję się jak nastolatka wymykająca się ze szkolnej potańcówki.

Nie patrzył na nią, ale nagle zbladł. Zacisnął palce na kierow-

nicy. Milczał.

- A ty? - zapytała.

- Nie, ale nie musimy niczego robić, jeśli nie jesteś pewna.

- Jestem pewna. - Nadal był wyraźnie spięty. Dziwne, bo przecież od tygodni do tego dążył. Poczula się trochę nieswojo. Może za dużo gadają, a za mało robią?

Może zmęczyła go tą rozmową?

Zostało jeszcze dziesięć minut jazdy. Jak zappełnić ten czas? Hm, ona nie prowadzi, więc ogranicza ją jedynie wyobraźnia.

Zawsze miała żywą wyobraźnię. Bujną.

- Niezłe są te podgrzewane siedzenia. - Pochyliła się w stronę Lance'a i poruszyła biodrami. - Robi mi się gorąco.

Patrzył na drogę, ale z całej siły zacisnął palce na kierownicy.

- Robi ci się gorąco?

No, to dużo lepsze niż ta cisza. Zaczyna się robić ciekawie. I o to chodzi.

Lance plus jej wyobraźnia. Bez granic.

Dziwne, bo choć perspektywa tego, co nastąpi, budziła w niej niepokój, bez namysłu rozpięła płaszcz i zdjęła go. A potem przesunęła rękami po swoim ciele, zatrzymując je na dole sukienki.

- Chyba tak. Daj rękę, to się przekonasz.

- McKenzie. - Miał zmieniony głos. - Muszę skupić się na prowadzeniu. Nie chcę się rozbić.

- Nie rozbijesz się. Wystarczy mi jedna ręka. Patrz na drogę i trzymaj kierownicę. Nie przejmuj się.

- Myślisz, że mogę cię dotykać i nie patrzeć? - zapytał zduszonym głosem.

Ten ton sprawił jej przyjemność.

- A nie możesz?

- Tego nie jestem pewien.

Cudownie. Lance jej chce. Naprawdę jej pragnie. Niby już wcześniej to wiedziała, ale teraz ta świadomość dodała jej skrzydeł.

- Przekonajmy się. - Sięgnęła po jego rękę, Lance się nie opierał. Położyła sobie jego prawą dłoń na udzie. - Sam zobacz.

- McKenzie - wydusił, bo przejęta tym, co się dzieje, przesu-

nęła ręką po jego podbrzuszu. I nie doznała zawodu.

- Testujesz moją silną wolę - dodał przez zęby.

Jej silna wola w zasadzie legła w gruzach. Najpierw się z nim droczy, a teraz jest podniecona nie mniej niż on. Poruszyła się niespokojnie, dłoń Lance'a zsunęła się niżej.

- Jestem pewna, że nigdy nie oblałeś testu. - Położyła rękę na jego dłoni i wsunęła ją pod sukienkę.

- Zawsze jest pierwszy raz.

- Ale nie teraz - powiedziała, kierując jego dłoń tam, gdzie najbardziej płonęła.

- Jesteś pewna?

- Jasne - zapewniła. - Bo jeśli stracisz silną wolę, to będziemy musieli przestać.

- A jeśli zatrzymają mnie za przekroczenie szybkości?

Przytuliła się do jego ręki mocniej.

- Nie wiem, jak wyjaśnisz policjantowi, dlaczego aż tak się spieszysz.

- Od razu to zrozumie, kiedy spojrzy na ciebie.

Nadal jechał z tą samą prędkością, co nawet się jej podobało. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Nawet jeśli pasażerka go uwodzi. Choć dziwiło ją, że mając taki samochód, Lance nie wciska bez opamiętania gazu. Zawsze prowadził odpowiedzialnie.

Jęknęła cicho, gdy poczuła musnięcie jego dłoni. I od razu zapomniała o bezpieczeństwie.

- Och, jak dobrze!

- Może wyłączyć ogrzewanie, skoro tak ci gorąco.

Słyszała uśmiech w jego głosie. Podsunęła się jeszcze bliżej.

- Na pewno może być jeszcze bardziej gorąco.

- Tak myślisz?

- Taką mam nadzieję.

Zwolnił, skręcił w jej ulicę.

- Na szczęście już prawie dotarliśmy na miejsce.

- Wcale nie - zażartowała. - Ale jeśli jeszcze trochę przesu-
niesz palce, to może.

- McKenzie - wydusił. - Zabijasz mnie.

Zamknęła oczy, rozkoszując się jego pieśczołą. Ogarnęło ją

pragnienie, by zerwać z siebie ubranie. Zedrzyć je z niego. Już teraz, zaraz. Poczuć go na skórze.

Nie może tego zrobić?

Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała, ale jest dorosła i zazwyczaj odpowiedzialna. Jeśli czegoś chce, to czemu nie?

Zręcznym ruchem zsunęła z siebie stringi. Może wyglądało to zabawnie, ale co tam. Tak, tak jest nieporównanie lepiej. Żadnych przeszkód.

- Gdybym był bardziej odporny, kazałbym ci zaczekać przynajmniej do chwili, aż podjedziemy pod dom.

- To dobrze, że nie jesteś bardziej odporny. Bardzo dobrze.

Dotykał jej delikatnie, tylko muskał.

- To nie fair.

- Życie jest nie fair. Pogódź się z tym - podsumowała.

Lance wybuchnął śmiechem.

- Zero współczucia z twojej strony.

- Od tygodni do tego dążyłeś. Czemu nagle mam ci okazać współczucie, skoro masz, czego chciałeś?

- Chcę czegoś więcej, McKenzie. Nie chodzi tylko o seks, ale o związek.

- Dobrałeś się do mnie, więc już jesteśmy w związku.

- Na trzydzieści dni czy krócej?

- Nie ustalam terminu. Jeszcze mnie dotykaj, trochę szybciej.

- Zgoda, ale najpierw obiecaj mi dwa miesiące.

Dwa miesiące? Dlaczego dwa miesiące?

- To nie są negocjacje biznesowe.

- To prawda, ale jeśli chcesz czegoś więcej, to daj mi słowo. Dwa miesiące. Ani dnia krócej. Ani dłużej.

Uff. Dla niej to byłby pierwszy raz. Z drugiej strony, co znaczą dwa miesiące w porównaniu z całym życiem?

- Dobrze - przystała, coraz bardziej roznamiętniona. - Ale ani dnia dłużej.

Zatrzymał się na podjeździe pod domem. Nawet nie zauważyła, że byli już tak blisko.

Zgasił silnik i obrócił się do niej. Pieszczoty stały się jeszcze bardziej gorące, pocałunki podniecały do granic wytrzymałości. Zacisnęła powieki, po chwili otworzyła szeroko oczy. Fala orga-

zmu wręcz ją zalała. Zabrakło jej powietrza. Popatrzyła na Lance'a. Dwa miesiące to chyba za mało, sądząc po tym, co teraz przeżyła.

Spleceni uściskiem, zrzucili z łóżka poduszki. Ubrania znaczyły ich drogę od frontowych drzwi do sypialni.

- Chcę cię, McKenzie - szeptał Lance, znów ją całując. Robił to obłędnie, zabójczo.

Była tak pobudzona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Odawiała pieszczoty i pocałunki, rozkoszując się dotykiem jego pięknego męskiego ciała. Czuła na sobie jego ręce i to było cudowne.

- Jeszcze - szeptała bez tchu, przepelniona pragnieniem i desperacją. - Proszę, jeszcze. Lance, chcę cię. Teraz.

Nie dał się prosić. Delikatnie popchnął ją na łóżko, sprawnie założył prezerwatywę, którą zawczasu położył na nocnej szafce.

- Na pewno? - zapytał, patrząc na nią z góry.

Na co on czeka? Zapraszająco wysunęła w jego stronę biodra. Kiedy poczuła go w sobie, z jej piersi wydarł się jęk rozkoszy. To na to czekała od tak dawna.

Opadł na łóżko, gwałtownie chwycił powietrze.

Ona jest cudowna. Piękna, wesoła, pełna życia, seksowna, aktywna i otwarta. To, czego przed chwilą doświadczył, nie dało się z niczym porównać.

- To było niesamowite.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Dokładnie to samo czuję. - Popatrzył na nią. - Ty jesteś niesamowita.

- Nie, ty. Jeszcze nigdy nie czułam tego, co teraz z tobą.

Zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Ja też.

Sięgnęła po kołdrę, okryła się nią.

- Raczej nie muszę ci tego mówić, ale na wszelki wypadek to zrobię. Żeby nie było niedopowiedzeń.

Wiedział, do czego McKenzie zmierza. To mu odpowiadało. Miał takie samo podejście, ale pewne rzeczy zawsze warto so-

bie przypomnieć.

- Jesteś fantastyczny w łóżku, ale mnie nie interesuje związek na dłuższą metę.

- Mnie też - zapewnił, mile polechtany jej pochwałą.

- Może nie powinnam mówić o zakończeniu naszej relacji tuż po takim obłądnym seksie, ale pracujemy razem, więc musimy wyraźnie wyznaczyć granice, żeby uniknąć problemów.

Myśl, że za dwa miesiące nie będzie mógł jej dotknąć, całować i doświadczać tego, co przed chwilą przeżyli, nie była przyjemna. Ale cóż, tak musi być.

Nie chciał żony i dzieci, jego miłością była Shelby, to jej oddał serce. Bardzo dobrze, że McKenzie stawia sprawę jasno. Mają dwa miesiące, by się sobą nacieszyć, potem każde pójdzie swoją drogą. Idealny układ.

Otuliła się szczelniej kołdrą, patrząc na Lance'a i modląc się w duchu, by potwierdził jej warunki.

Seks z nim był wyjątkowy, najlepszy, jakiego dotąd doświadczyła. Ale jeśli Lance zmieni zdanie, ten pierwszy raz będzie ostatnim. Już i tak przystała na ryzyko. Zgodziła się na dwa miesiące, czego nigdy wcześniej nie zrobiła. Nie chce się do niego przywiązać, nie chce iść w ślady rodziców. Kolejnych ślubów i rozwodów, jakie były udziałem ojca. Ani żałosnego losu matki.

Chce być wolna i niezależna. I tak dała mu dwa miesiące. Zasłużył sobie na to.

A nawet na trzy.

Na zawsze.

Nie, nie na zawsze. To nie dla niej. Dwa miesiące, a potem żegnaj. Choć jest niesamowitym kochankiem.

- Obiecaj - ponagliła go z desperacją.

- Dwa miesiące to idealny układ.

Spłynęła na nią ulga. Bo nie chciała się z nim żegnać. I przez dwa miesiące nie będzie musiała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Niemożliwe, żebyś pracowała przez całe święta - nie poddał się Lance, podążając za McKenzie do stolika w szpitalnej stołówce.

McKenzie wzięła croissanta z sałatką z kurczakiem i dodatkowo sałatę. Lance miał zamiar zjeść coś konkretnego, ale ostatecznie sięgnął po to samo co ona.

Gdy usiedli, McKenzie spojrzała na niego.

- W Wigilię pracuję pół dnia w przychodni, a w Boże Narodzenie idę rano na pół dnia na ostry dyżur. - Robiła tak co rok, dzięki temu lekarz z izby przyjęć mógł spędzić ranek z dziećmi, a ona nie traciła kontaktu z medycyną ratunkową.

- To kiedy będziesz świętować z rodzicami?

Poczuła dławienie w gardle. Nie chciała wprowadzać go w rodzinne sprawy. Tym bardziej poznawać go z rodzicami. Matka pewnie zaraz zaczęłaby się do niego przystawiać, a ojciec wypytywać o opinię na temat poprawionego biustu piątej żony. Nie, na pewno go do nich nie zabierze.

Kilka dni temu rozmawiała z matką. Violet wybierała się na święta do siostry i ani słowem nie wspomniała o swoim ostatnim chłopaku. Być może już przeszedł do historii. Ojciec planował narciarski wypad z ukochaną i grupą znajomych.

- Nie obchodzimy świąt w tradycyjny sposób.

- To znaczy?

- Zwykle spotykamy się w styczniu na kolacji. Nie mamy bzi-ka na punkcie świąt. Sam wiesz, że ostatnio strasznie się skomercjalizowały.

- I to mówi ktoś, kto zajął pierwsze miejsce za kostium na paradzie.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- To Cecilia powinna dostać tę nagrodę, kostium był jej dziełem.

- Ale to ty go tak pięknie zaprezentowałaś - odparł, obrzucając ją taksującym spojrzeniem. - W fartuchu też jest ci prześlicznie, doktor Sanders.

Uniosła brwi, karcąco pokręciła głową.

- Podrywasz mnie, doktorze Spencer?

- I to na maksa.

McKenzie przewróciła oczami.

- Na maksa. Jasne. Dla facetów to się najbardziej liczy.

- Powinnaś zobaczyć choinkę, jaką moja mama wybiera do salonu. Też na maksa. Kupuje największą, jaka jest.

- Żywą choinkę?

- Do salonu. Oprócz niej jest masa sztucznych. A za domem już wyrósł las choinek z kolejnych świąt.

Nie pamiętała, by w jej domu była choinka. Może jakaś miniaturowa z lamety, gdy była małą dziewczynką. Matka nie przywiązywała wagi do świąt, zwłaszcza po rozstaniu z ojcem McKenzie.

- Mama chce cię poznać.

McKenzie popatrzyła na niego zaskoczona.

- Po co? I w ogóle skąd o mnie wie?

- Zapytała, czy kogoś mam, a ja opowiedziałem jej o tobie.

Niepotrzebnie rozmawiał z matką na jej temat.

- Nie powinna mnie poznawać.

- Dlaczego?

- Matkom przedstawia się kogoś, z kim się wiąże przyszłość.

- Wolałem powiedzieć jej o tobie, niż opędzać się od jakiejś singielki, którą mi podstawi. W końcu to nic takiego, że wpadniesz w święta do moich rodziców.

Może dla niego. Dla niej przeciwnie. Nie miała w zwyczaju poznawać rodziców swoich partnerów. To mogłoby prowadzić do pochopnych wniosków.

- Chyba nie dotarło do ciebie, że w święta pracuję.

- W święta godziny są ruchome. O której kończysz?

- Nie, nie złapiesz mnie.

Popatrzył na nią z niewinną miną.

- Nie rozumiem.

- Cokolwiek powiem, zawsze stwierdzisz, że to idealna pora.

I żebym od razu do was przyjechała.

- McKenzie.

Popatrzyła na niego chmurnie. Domyślała się, co teraz powie.

- Po wyjściu ze szpitala przyjeżdżaj do moich rodziców. To będzie idealna pora.

- Po co mam ich poznawać i tworzyć iluzje? Nie mamy planów na przyszłość.

- Tam będzie mnóstwo ludzi. Ciotki. Wujkowie. Kuzyni. Zabawisz się, a przy okazji uratujesz mnie, bo inaczej mama z pewnością będzie chciała mnie z kimś wyswatać.

Jakim cudem Lance ją do tego namówił? Nacisnęła dzwonek, kolejny raz zadając sobie to pytanie.

Przecież nigdy nie robi takich rzeczy.

W tym roku jest inaczej. Tak bardzo inaczej, że przygotowała deser dla gospodarzy. Boże, jakie to ckiwe!

Nie powinna była przyjeżdżać. To nie w jej stylu. Ogarnęła ją panika. Odwróciła się, gotowa do ucieczki.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi.

- Jesteś.

- Nie - zaprzeczyła. - Zapomnij, że mnie widziałeś. Już się zmywam.

Lance z uśmiechem potrząsnął głową.

- Wejdz do środka.

- Chyba popełniłam błąd.

- Jechałaś tu prawie godzinę, więc nie wyjdiesz bez gwiazdkowej kolacji.

- Mam na koncie jeszcze dziwniejsze rzeczy. - Jak zgoda na przyjazd do jego rodziców.

- Przywiozłaś coś? - Wskazał na trzymane przez nią naczynie.

- Deser, ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Wchodź do domu.

Zaczerpnęła powietrza. Miał rację. Zachowuje się śmiesznie. Zaraz po pracy wróciła do domu, wzięła prysznic, złapała przygotowany wieczorem deser i wbiła do nawigacji adres jego rodziców.

I jechała tu prawie godzinę.

- Dobrze, ale będziesz mi coś winny.
Pochylił się i cmoknął ją w czubek nosa.

- Co tylko zechcesz.

- Obiecanki cacanki.

Uśmiechnął się, wziął od niej naczynie i gestem zaprosił McKenzie do środka.

- Cieszę się, że jesteś. Bałem się, że się rozmyślisz.

- Bo tak było - przyznała, wchodząc do domu. - Tylko za szybko otworzyłeś, nie zdążyłam się ewakuować.

- Tym bardziej się cieszę, że zauważyłem twoje światła, kiedy skręciłaś na podjazd. Wczoraj bardzo mi ciebie brakowało.

Lance już poprzedniego dnia przyjechał do rodziców, zaraz po zakończeniu pracy. To był pierwszy wieczór, którego nie spędzili razem.

Ona też się za nim stęskniła.

Nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo w holu pojawiła się atrakcyjna kobieta o błyszczących niebieskich oczach i ciemnobrązowych włosach. Była w czarnych spodniach i ślicznym bożonarodzeniowym sweterku. Rozpromieniona uśmiechem i młodsza, niż McKenzie się spodziewała.

Lance był do matki uderzająco podobny.

- Tak się cieszę! - Mówiła z uroczym południowym akcentem.

- Lance od kilku godzin do niczego się nie nadawał, bo tylko patrzył na podjazd!

- Wielkie dzięki, mamó. Właśnie powiedziałaś mojej dziewczynie, że do niczego się nie nadaję - zażartował z ciepłym uśmiechem.

McKenzie chciała sprostować, lecz ugryzła się w język. Przyjechała tu przecież jako jego dziewczyna.

- Daj spokój. Już ona wie, co miałam na myśli - odparła, bagatelizując jego zarzuty i gorąco obejmując McKenzie. Pachniała cynamonem i ciasteczkami.

Boże Narodzenie. Jego mama pachnie Bożym Narodzeniem. Tradycyjnym Bożym Narodzeniem. Pełnym ciepła, spokoju, szczęścia i miłości.

- Miło mi panią poznać - powiedziała, czując się trochę zakłopotana. Matka Lance'a obejmowała ją z sympatią. Kiedy zazna-

ła czegoś podobnego od swoich rodziców?

- Mnie jeszcze bardziej jest miło, bo wreszcie poznaję przyjaciółkę Lance'a.

Zwykle nie przyjeżdżał ze swymi dziewczynami? Powiedział, że jej przyjazd do rodziców to nic takiego. Ale jeśli to stało się pierwszy raz, to sprawa nabiera innego wymiaru. Cóż, nie pora teraz dochodzić prawdy, bo co to zmieni? Jest w domu jego rodziców. Co było kiedyś, dla niej się nie liczy. Tak jak jej obecność nie będzie miała znaczenia dla przyszłych dziewczyn Lance'a.

Przyszłe dziewczyny. Ta myśl nie była zbyt przyjemna. Chciała go tylko dla siebie. Przynajmniej na jakiś czas.

- Cieszę się, że tu jesteś - powtórzył Lance i musnął ustami jej wargi. - Mam nadzieję, że jesteś głodna.

Popatrzyła na niego. Czyżby znów czytał w jej myślach?

- Nabierz powietrza i idziemy poznać resztę towarzystwa - zarządził.

- Lance, bądź miły. Chcesz ją wystraszyć? Oni wcale nie są tacy źli - zgromiła go matka.

Lance puścił do niej oko.

Po dwóch godzinach musiała przyznać rację mamie Lance'a. Jego rodzina naprawdę była fantastyczna. Poczynając od słabo słyszających dziadków, ze względu na których wszyscy mówili głośno, by nie wykluczać ich z rozmowy, ciotek wujów i kuzynów, a kończąc na dzieciach.

Przy stole panował radosny gwar. Wszyscy czuli się z sobą doskonale. Dzieciaki adorowały wujka Lance'a.

- Jesteś bardzo wyciszona - zauważył cicho.

- Syce się atmosferą - wyznała.

- Jesteśmy szczególnym przypadkiem. U was święta wyglądają podobnie?

McKenzie tylko się roześmiała.

- Ależ skąd.

- Dlaczego?

- Nie będę cię zanudzać wspominkami z mojego smętnego dzieciństwa.

- Nie zanudzisz. Chcę wiedzieć o tobie jak najwięcej.

Chciała zapytać, po co mu ta wiedza, ale w tym otoczeniu to było pytanie nie na miejscu.

- Opowiem ci kiedy indziej - szepnęła.

Nie oponował. Po kolacji wszyscy zgodnie zabrali się za sprzątanie ze stołu. Nawet dzieci, które jadły przy ustawionych w kuchni stolikach do kart. McKenzie obserwowała to z niekłamnym podziwem.

Panowie przeszli do salonu, panie sprzątnęły resztki jedzenia i włączyły zmywarę. Lance nie odstępował McKenzie. Wyraźnie nie chciał zostawić jej samej.

- Idź, nic mi nie będzie. Nie pogryzą mnie.

Nadal nie wyglądał na przekonanego.

- Mówię serio, co takiego złego może mnie spotkać?

No właśnie. Lance był w kropce. Rzadko przywoził do rodziców swoje dziewczyny, nigdy na święta. Nic dziwnego, że cała rodzina podszczypywała go niemiłosiernie, wmawiając, że skoro zaprosił McKenzie do rodzinnego domu, to pewnie jest tą jedyną. Na nic się zdały jego tłumaczenia, że są kolegami z pracy i znają się od lat. Im dobitniej przekonywał, że już wcześniej poznał i stracił swoją „jedyną”, tym szerzej się uśmiechali. Nie na żarty zaczynał się bać, że nim minie doba, rodzina zaciągnie jego i McKenzie do ołtarza.

Znając McKenzie, nie miał złudzeń, że takie insynuacje się jej nie spodobają. Nie są w poważnym związku. Ich układ potrwa dwa miesiące, a potem rozstaną się bez żalu. McKenzie z zasady unika zobowiązań, on zaś oddał serce Shelby. I pozostanie lojalny jej pamięci.

Zapytała, co takiego złego może ją spotkać?

- Lance, jestem dorosła. Nie chcą mnie przepłoszyć.

- Ja tylko... - Miał świadomość, że zachowuje się śmiesznie. - Chętnie pomogę przy sprzątanii.

- Lance, idź do dziadków. Nie widziałeś się z nimi od Święta Dziękczynienia - zarządziła mama. - A my przez ten czas trochę się poznamy. Nie musisz nad nami stać.

- No wiesz? - obruszył się.

- Idź - popędziła go matka, wskazując drzwi.

Lance roześmiał się.

- Moja obecność i pomoc nie są tu mile widziane, więc idę do babci, która bardzo mnie kocha.

- Hm, może to ją powinieneś poprosić o referencje - zażartowała McKenzie.

- Może. Mamy już się skasowały.

- Wszystko słyszałam - przez ramię zawołała matka.

Lance pochylił się i cmoknął McKenzie w policzek.

- Będę w sąsiednim pokoju, gdyby przesłuchanie stało się męczące.

- Dobrze. - Uśmiechała się, jakby nie przejmowała się tym, co ją czeka. Oby to była prawda. Mama, ciotki i kuzynki nie znają umiaru.

- Słyszałam od Lance'a, że spotykacie się od dwóch tygodni - zagadnęła jego matka, gdy Lance wyszedł.

- Chyba wiesz, że nigdy dotąd nie przywiózł dziewczyny na rodzinne święta? - rzekła Sara Beth, żona kuzyna Lance'a.

- Jest w tobie zakochany po uszy - dodała inna. - Powiedział nam, że pracujecie razem, a od niedawna jesteście parą.

- Chcemy poznać całą historię - powiedziała ciocia Lance'a.

- Wygląda na to, że już wszystko wiecie - zaczęła. Nie chciała, żeby robiły sobie wielkie nadzieje. - Przyjaźnimy się, odkąd po stażu wróciłam do Coopersville.

- Pochodzisz z Coopersville? Tam masz rodzinę?

- Mamę. Tata mieszka w Lewisburgu.

Oczy matki błysnęły.

- Może go znamy. Jak się nazywa?

Może nie. Owszem, jest znanym prawnikiem, ale jako człowiek prezentuje się fatalnie. Zagorzały babiarz i krętacz. Jeśli matka Lance'a kiedykolwiek go spotkała, z pewnością próbował ją uwodzić. Lepiej tego nie zgłębiać.

Unikając odpowiedzi, rzekła:

- Nie mam rodzeństwa, jedynie kuzynów. - Nie znała ich bliżej, właściwie poznała ich kiedyś w szpitalu, gdy ktoś z nich zachorował. - Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałam cztery lata. Prawdę mówiąc, nigdy się po tym nie pozbierałam.

Dodała to zdanie w nadziei, że utnie pytania o rodziców. Nie chciała rozmawiać o rozwodzie, zawsze unikała tego tematu. Tym bardziej o szczegółach.

- Biedactwo - rzekła ze współczuciem matka Lance'a. - Rozwód jest ciężkim przeżyciem, niezależnie od wieku.

- Amen - podjęła ciocia Lance'a. - George jest moim drugim mężem. Z pierwszym nie wytrzymałam. Byliśmy jak benzyna i ogień, ciągle dochodziło do wybuchów.

Rozmowa zeszła na inne tematy. McKenzie szybko poczuła się bardzo dobrze w towarzystwie hałaśliwej, życzliwej rodziny.

- Bardzo się cieszymy, że jesteś z nami - odezwała się jedna z ciotek. - Najwyższy czas, żeby ktoś wyrwał naszego chłopca z mrocznej przeszłości.

McKenzie popatrzyła na nią z konsternacją. Ciocia spojrzała po pozostałych paniach, jakby zastanawiając się, co powiedzieć. Sara Beth zwróciła się do McKenzie.

- Pewnie nie powiedział ci o Shelby? - zapytała ciepło.

- Nie. - Kim jest Shelby?

Kobieta speszyła się, lecz już nie mogła cofnąć pytania.

- To była pierwsza miłość Lance'a.

Była. Ogarnęło ją złowieszcze przeczucie.

- Co się stało?

- Umarła - powiedziała Sara Beth.

McKenzie poczuła na sobie wzrok wszystkich kobiet. Pierwsza miłość Lance'a umarła, o on jej o tym nie wspomniał.

- Zostawmy przeszłość i cieszymy się, że McKenzie jest z nami.

- Matka Lance'a wytarła ręce i serdecznie uściskała McKenzie.

- Bardzo się cieszymy, że zjawiał się w życiu mojego syna. To wyjątkowy człowiek o wielkim sercu, a ty jesteś szczęśliwą młodą kobietą.

- To prawda. - Jeszcze nie otrząsnęła się po wiadomości, że ukochana Lance'a nie żyje. Nadal ją kocha? Dlaczego umarła? Jak dawno? - Tak, Lance jest wyjątkowym człowiekiem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Jesteś pewien? - zapytała, patrząc na Lance'a, który obok niej robił ćwiczenia rozciągające.

Ciemne spodnie do biegania podkreślały jego muskularne uda i łydki, kolorowa koszulka z długim rękawem opinała tors, którym wczoraj w nocy z przyjemnością się delektowała, kiedy „witani” nadejście Nowego Roku.

Lance popatrzył na nią z uśmiechem.

- Poczekam na ciebie na mecie.

Miała nadzieję, że tak się stanie. Oby nie okazało się, że Lance przesadzał, twierdząc, że biega. Był w świetnej formie, jednak nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek biegał. Wprawdzie nie było to wykluczone - nigdy u niej nie nocował, czyli mógł biegać wczesnym rankiem, tak jak ona. Po miłosnych uniesieniach zostawał u niej na trochę, ale zawsze wracał do siebie. Wczoraj też. Nie prosiła go, by został. On również o to nie zabiegał. Gdy przychodziła pora, całował ją na pożegnanie i wychodził.

W Boże Narodzenie, po powrocie od jego rodziców, była gotowa się zgodzić na to, by spał u niej. Lance odprowadził ją do domu, wszedł do środka, uściskał ją, a potem wyszedł. Nie chciała się z nim rozstawać. Nie miała nic przeciwko temu, żeby został. Ale jemu na tym nie zależało. A jeśli nawet, to i tak wolał wracać do siebie.

Dlaczego? Czy to ma coś wspólnego z Shelby? Może powinna mu powiedzieć, że o niej wie? Że jego bliscy opowiedzieli jej, jak ciężko przeżył tę stratę? Tyle że nie знаła żadnych szczegółów dotyczących jego tajemniczej pierwszej miłości.

Może szczegóły nie mają znaczenia. Nie powinny być ważne. Jednak jest inaczej. Może to tylko ciekawość. Może zazdrość. Może coś więcej, czego nie potrafi nazwać.

Kilkanaście razy niewiele brakowało, by zapytała go o Shelby, lecz zawsze zmieniała zdanie. Gdyby Lance chciał, żeby wie-

działa, to sam by jej powiedział.

Dziś pierwszy dzień nowego roku. Nowy początek.

Kto wie, może dziś u niej zostanie.

Jeśli nie, trudno. Pogodzi się z tym. Może Lance ma rację, nie przenosząc ich znajomości na kolejny poziom. Często po upojnym seksie zapadali w drzemkę, ale spędzanie razem całej nocy to coś innego.

- Nie musisz biec razem ze mną - powiedziała, stwierdzając w duchu, że już i tak stali się sobie bardzo bliscy. Może aż za bardzo, bo coraz trudniej przychodziło jej wyobrazić sobie życie bez niego. - Biegnij swoim tempem, a ja swoim. Spotkamy się na końcu trasy.

Uśmiechnął się, kiwnął głową.

- Tak jest, proszę pani. Będę to mieć na uwadze.

Rozciągali mięśnie, podczas gdy spiker ogłaszał cel biegu i przypominał zasady. Niedługo potem ruszyli.

McKenzie nigdy nie usiłowała wcześniej wyjść na prowadzenie. Były wyścigi, w których to okazywało się niemożliwe. Nie dlatego, żeby sobie odpuszczała; czasem zdarzali się lepsi zawodnicy, zwłaszcza na niektórych dystansach. Dziś liczyła, że dobrze jej pójdzie.

Lance biegł obok niej. Ku jej zaskoczeniu nie próbował rozmawiać, w przeciwieństwie do znajomych, których w przeszłości namówiła na udział w biegu. Buzie im się nie zamykały do momentu, kiedy tracili dech i zamiast biec, zaczęli iść. Licząc, że ona zrobi to samo.

Lance dotrzymywał jej kroku. Z łatwością. W połowie trasy zaczęła się zastanawiać, że może to ona go spowalnia. Przyśpieszyła. Nadal był przy niej. Nie dyszał i nie sapał.

- Czaiłeś się przede mną - zarzuciła mu, leciutko zdyszana. Teraz to ona gada. Jeszcze trochę, a zaczniesz iść.

- Ja? Mówiłem ci, że biegam.

- Nigdy nie widziałam się na żadnych lokalnych biegach, a najwyraźniej trenujesz.

- Nie biorę udziału w zorganizowanych biegach czy wyścigach.

Nie? Spochmurniała. Co to za odpowiedź, skoro widać, że

bieg sprawia mu nie mniejszą przyjemność niż jej?

- Trudno w to uwierzyć, bo przecież udzielasz się w tylu akcjach charytatywnych. Dlaczego nie starujesz w biegach, żeby zebrać pieniądze na szczytne cele? Dlaczego sam nie organizujesz takich biegów?

McKenzie jest trochę za bystra. Brał udział w wielu imprezach charytatywnych, ale nigdy w tych związanych z bieganiem. Biegał kilka razy w tygodniu, zawsze sam. Choć mentalnie zawsze ktoś przy nim był.

Shelby poznał podczas szkolnego biegu przełajowego. Była od niego rok starsza, obracali się w innych kręgach. Widywał śliczną brunetkę, ale nie miał okazji jej poznać. Dla Shelby byłoby lepiej, gdyby to się nigdy nie stało.

- Nikt nie może robić wszystkiego - odpowiedział.

- Zaczynam myśleć, że ty możesz.

- Mylisz się. Po prostu mamy z sobą wiele wspólnego. Pociągają nas te same rzeczy.

- Nie. Ja nie lubię śpiewać.

- Myślę, że byś lubiła, gdybyś się rozluźniła.

- Wyjść na scenę, patrzeć na ludzi, którzy się na mnie gapią?

Nigdy.

- Nie znosisz sytuacji, w których ludzie na ciebie patrzą?

- Właśnie.

- Przez twoich rodziców?

- Może cię nie uprzedziłam, ale kiedy biegnę, nie rozmawiam.

Biegam w milczeniu.

Zaśmiał się cicho.

- Inaczej mówiąc, mam się zamknąć?

- Szybko chwytasz.

Oboje przyśpieszyli i wkrótce dotarli do mety. Przez ostatnie minuty Lance rozważał w duchu, czy pozwolić jej wygrać, lecz uznał, że lepiej nie. Raczej wzięłaby mu to za złe. Na ostatnich metrach przyśpieszył. McKenzie również. Ma sportowego ducha, musiał jej to przyznać. Pobiegł jeszcze szybciej. Ona też.

Jednocześnie przekroczyli linię mety. Sędzia ogłosił, że Lance był o ułamek sekundy szybszy. Gdyby uznał zwycięstwo McKen-

zie, Lance by nie protestował, bo wbiegli tuż obok siebie.

McKenzie łapczywie chwytła powietrze, jemu też brakowało tlenu. Przeszedł kilka kroków, powoli dochodząc do siebie. Gdy się odwrócił, McKenzie piorunowała go wzrokiem.

- Oszukałeś mnie - wydusiła zdyszczanym głosem.

- Słucham?

- Zastanawiałeś się, czy nie dać mi wygrać. - Wciąż miała nierówny płytki oddech.

- Może nie zauważyłaś... - też oddychał z trudem - ale starałem się cię wyprzedzić.

- Od kiedy biegasz?

- Od liceum. - Nie chciał rozwijać tematu. Bał się pytań, na które nie chciał odpowiadać.

- Startowałeś w zawodach?

Lance kiwnął głową.

- Ja też. - Wyprostowała się i odetchnęła głęboko. - Miałam stypendium sportowe na studiach licencjackich.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Znów mamy z sobą coś wspólnego.

Popatrzyła na niego i przewróciła oczami.

- Nie jest tego tak wiele.

- Więcej, niż zechcesz przyznać.

- Możliwe - przystała. - Chodźmy pogratulować zdobywcy pierwszego miejsca. Znam go, mieszka niedaleko. Zwykle jest ode mnie lepszy o dwadzieścia parę sekund. Startuje wyłącznie na pięciokilometrowym dystansie.

Pogratulowali zwycięzcy, odebrali medale za drugie i trzecie miejsce, a po ceremonii ruszyli do domu McKenzie.

Wzięli razem prysznic. Minęło sporo czasu, nim byli gotowi do wyjścia.

Dni mijały szybko. Ani się spostrzegła, gdy skończył się ich pierwszy miesiąc. Świadomość, że ich czas się kończy, napęniała ją coraz większą paniką. Każdy dzień przybliżał ich nieuniknione rozstanie. W jakimś momencie zdała sobie sprawę, że nastąpi to w przeddzień walentynek.

Czy to ma jakieś znaczenie? Nigdy nie przywiązywała szcze-

gólnej uwagi do tego święta, dla niej było mocno naciągane. Zwykle dostawała kwiaty i czekoladki od aktualnego chłopaka, sama wręczała mu zabawną kartkę. Dlaczego teraz widzi to inaczej? Dlaczego kwiaty i czekoladki od Lance'a są dla niej czymś innym? A pomysł obdarowania go śmieszną kartką też do niej nie przemawia?

Ich relacja zakończy się dzień przed tym, w którym inni świętują łączące ich uczucie. W ich przypadku nie ma jednak mowy o miłości. Zresztą sama nie ma pewności, czy miłość w ogóle istnieje.

Mimowolnie przypomniawszy sobie dziadków Lance'a. Sześćdziesiąt lat po ślubie. Jego rodzice pobrali się czterdzieści lat temu. Hm, może miłość istnieje, lecz nie jest pisana wszystkim. Takim jak ona, skażonym genetycznie. Gdy była z ojcem na spóźnionej gwiazdkowej kolacji, narzekał na ostatnią żonę i bez opamiętania podrywał kelnerkę. Wcale jej nie zdziwi, jeśli jego kolejne małżeństwo niedługo się rozpadnie. Matka ni stąd, ni zowąd stała się weganką. To pod wpływem nowego chłopaka. Zamierzała wiosną założyć ogródek i uprawiać warzywa.

McKenzie nie miała nic przeciwko temu, cieszyła się, że matka przestawia się na zdrowszy tryb życia. Choć jej ulubionym daniem był soczysty stek, który zwykle zamawiała, gdy od wielkiego dzwonu spotykała się z córką. Zazwyczaj między kolejnymi partnerami, na Boże Narodzenie czy z okazji urodzin.

Oba spotkania udało się jej zaaranżować bez obecności Lance'a. Celowo wybrała dni, kiedy był zajęty.

- Od dziesięciu minut wpatrujesz się w ekran - głos Lance'a wyrwał ją z zadumy. - Jakiś problem?

Przyszedł do niej z kolacją, a teraz oboje siedzieli na kanapie i uzupełniali w laptopach dokumentację medyczną, kątem oka zerkając na telewizor.

McKenzie zapisała dane i odwróciła się do Lance'a.

- Dziś trudno mi się skupić.

- Zauważyłem. - Odłożył komputer. - O co chodzi?

- Myślę o walentynkach.

Natychmiast się rozpromienił.

- Chcesz zrobić mi niespodziankę? Czerwone koronki i wyso-

kie obcasy? – Znacząco uniósł brwi.

Wiedziała, że to żarty, mimo to pokręciła głową.

– W walentynki już nie będziemy razem. Nasze dwa miesiące kończą się dzień wcześniej.

Jego uśmiech zgasł.

– Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli razem świętować walentynek. Wprawdzie urządzamy potańcówkę dla maturzystów, ale impreza skończy się o dziesiątej. Sprząatanie zajmie pół godziny. Potem możemy coś sobie zorganizować, a rozstać się dopiero później.

McKenzie potrząsnęła głową.

– Ty już masz plan na ten wieczór. I bardzo dobrze.

Ona nie miała, tym bardziej odczuje nieobecność Lance’a. I nie chodzi tylko o walentynki.

– Nie zastanawiałem się nad tym, że nasz termin niedługo minie. Chodź ze mną na tańce.

– To nie jest dobry pomysł.

– Myślisz, że będziesz miała zły wpływ na uczniów? – Mówił żartobliwym tonem, ale przyglądał się jej przenikliwie.

– To bardzo możliwe. – Dzień wcześniej między nimi wszystko się zakończy. Nie będą razem siedzieć przed komputerem, razem jeść, razem tańczyć, bawić się, razem biegać. Lance znajdzie sobie inną, może zaangażuje się uczuciowo i założy rodzinę.

Szuka kogoś takiego jak Shelby?

Jaka ona była? Dlaczego nigdy jej o niej nie wspomniał? Hm, niby czemu miałyby jej o niej mówić? Ich układ jest tymczasowy. Nie musi się jej zwierzać, opowiadać o przeszłości. Ani o planach na przyszłość.

Jednak były rzeczy, o których chciała wiedzieć.

– Chcesz mieć dzieci? – Sama nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie. Bo przecież to nie odnosiło się do niej. Przed nimi nie ma wspólnej przyszłości.

Ku jej zaskoczeniu Lance pokręcił głową.

– Nie mam takich planów.

Była w szoku. Widziała jego podejście do dzieci, gdy byli u jego rodziców. Miał idealny kontakt z maluchami. Dlaczego

o to spytała? Spodziewała się innej odpowiedzi? Liczyła, że Lance chce mieć gromadkę dzieci, a to byłoby dla niej dodatkowym argumentem, że nie są dla siebie?

- Byłbyś fantastycznym tatą.

Uniósł brwi, popatrzył na nią przeciągle.

- McKenzie, jesteś w ciąży?

- Absolutnie nie.

- Na pewno? Odkąd jesteście razem, nie miałaś miesiączki. Do tej pory się nad tym nie zastanawiałem, ale powinienem.

Zapięły ją policzki. Są lekarzami i nie powinna się czerwienić, bo to śmieszne, jednak w tym momencie była kobietą, a on mężczyzną. I medycyna nie miała nic do tego. To osobista sprawa. Nadzwyczaj osobista.

- Rzadko miesiączkuję. Mój ginekolog uważa, że ponieważ biegam, mam mało tkanki tłuszczowej, a z tego się bierze niedobór estrogenu. Szansa, że zajdę w ciążę, jest bliska zeru. Ale nawet gdyby, to przecież zawsze używasz prezerwatywy. Nie mogę być w ciąży.

Nigdy nie brała takiej możliwości pod uwagę.

- Zdarzają się znacznie dziwniejsze rzeczy.

- Niż moja ewentualna ciąża? - Pokręciła głową. - To byłoby bardzo dziwne. Nie zamierzam mieć dzieci.

Widziała, że obudziła w nim ciekawość.

- Dlaczego?

- Obciążenie genetyczne.

- Twój rodzic chorują?

Co na to powiedzieć? Chyba tylko prawdę.

- Fizycznie są w doskonałej formie. Mentalnie i emocjonalnie są beznadziejni.

- Cierpią na depresję?

- Mama tak. Tata może też. Oboje dokonali fatalnych wyborów i teraz ponoszą konsekwencje.

- Twój ojciec jest prawnikiem?

Kiwnęła głową.

- Co robi twoja mama?

- To, co podoba się jej aktualnemu facetowi.

Lance w milczeniu rozważał jej słowa.

- Wyszła ponownie za mąż?
- Nie. Myślę, że celowo z nikim formalnie się nie wiąże, bo póki jest sama, ojciec musi wypłacać jej alimenty.
- Ale on się ożenił?
- Teraz ma żonę, ale jak zapytasz mnie za miesiąc, to może być inaczej.
- Ile razy się żenił?
- Wolałaby nie odpowiadać, w ogóle niepotrzebnie zaczęła tę rozmowę. Powinna zająć się pracą. Co ją napadło?
- McKenzie?
- Teraz ma piątą żonę.
- Lance puścił oko.
- Niełatwo znaleźć tę jedyną, co?
- On nie ma z tym problemu. Wyszukuje je na prawo i na lewo. Wierność to dla niego puste słowo. Według mnie to on odpowiada za rozpad kolejnych małżeństw. A już na pewno za małżeństwo z moją matką.
- Każdy kij ma dwa końce.
- Weszłyśmy z mamą do jego gabinetu i nakryłyśmy go z sekretarką.
- Kiedy oni...
- Poczuła skurcz w żołądku. Kiwnęła głową. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Cecilia wiedziała, ale nie od niej. Sama domyśliła się prawdy, gdy usłyszała ich kłótnię.
- Ile miałaś lat?
- Cztery.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Próbował wyobrazić sobie, co czuła czteroletnia dziewczynka, widząc ojca w kompromitującej sytuacji z kobietą, która nie była jej matką. Nie potrafił sobie tego wyobrazić. W jego rodzinie było inaczej: jeśli ktoś oddawał komuś serce, składał przysięgę, to na wieki wieków.

Serce mu się ścisnęło. Czy on sam nie dał słowa Shelby? Nie poprzysiągł kochać ją do końca swych dni? Zawsze pamiętać dziewczynę, dzięki której pojął, co znaczy miłość, z którą wkroczył w dorosłe życie?

Tak było. Na zawsze.

Tak wiele jest jej winien.

- To musiało być traumatyczne przeżycie - rzekł, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, ale chcąc jakoś ją wesprzeć. Nie chciał teraz myśleć o Shelby. Ostatnio coraz częściej nie chciał o niej pamiętać. I przez to czuł się jeszcze bardziej winny.

Jak może nie chcieć o niej myśleć, skoro to przez niego nie ma jej na tym świecie? Skoro to przez niego nie jest lekarzem? Nie ratuje ludziom życia.

- To nie była jego pierwsza zdrada.

- Skąd wiesz? - Popatrzył na bladą twarz McKenzie.

- Moja mama rzuciła się wtedy na nich, szarpiąc ich jak szalona. Wykrzyczała przy tym parę rzeczy, a mój ojciec nie zaprzeczył.

- Miałaś tylko cztery lata - przypomniał, starając się wyobrazić sobie tę scenę z perspektywy dziecka. Wzdrygnął się w środku. - Może coś źle zrozumiałaś.

- On nie zasługuje na obronę. Nawet nie miał zamiaru się tłumaczyć. Oświadczył, że to sprawa genów i nie może nic na to poradzić.

- Bzdura.

- Co? - McKenzie gwałtownie podniosła głowę.

- Bzdura. Jeśli kogoś się kocha bardziej niż siebie, to dochowanie wierności nie jest żadnym problemem. Przychodzi naturalnie, z miłości.

McKenzie nabrała powietrza.

- Może właśnie w tym jest cały problem. Nikogo nigdy nie kochał bardziej niż siebie. Ani mojej matki, ani innych żon czy dziewczyn, a już na pewno mnie.

W jej głosie było tyle bólu, że serce mu się ścisnęło.

- Miał więcej dzieci?

McKenzie pokręciła głową.

- Zdecydował się na wazektomię, żeby już nigdy nie powtórzyć wcześniejszego błędu.

- Chodziło o ciebie?

McKenzie wzruszyła ramionami.

- On jest głupi. Beznadziejny, egoistyczny głupek.

- Pełna zgoda. - Potarła rękami uda, podniosła się. - Idę napić się wody. Chcesz coś?

- Tylko ciebie.

- Przykro mi, ale rozmowa o moim ojcu na jakiś czas odebrała mi ochotę.

- Nie to miałem na myśli.

- W takim razie co?

Dobre pytanie. Co miał na myśli? Że jej potrzebuje? Fizycznie? W łóżku było im fantastycznie. Jednak to coś więcej niż seks. Fascynował go jej żywy bystry umysł. A pod względem emocjonalnym... całkiem się pogubił.

Prosił ją o dwa miesiące. Obojgu odpowiadał taki układ. Wydawało mu się, że niczego więcej od niej nie chce. Jego poprzednie związki zwykle trwały dłużej, choć z góry było wiadomo, że prędzej czy później się skończą. Zawsze był szczery w stosunku do swoich partnerek. Gdy nadchodził moment, rozstawał się bez żalu. Nigdy nie angażował się uczuciowo. Z McKenzie od początku było inaczej. To dlatego chciał zawczasu ustalić termin.

Przy niej nie mógł opędzić się od pytań.

Zastanawiał się nad przeszłością. Teraźniejszością. Przyszłością. To, co dotąd było jasne i proste, nagle stało się skompliko-

wane i niewiadome.

Cieszył się, że wspólnie ustalili termin. To było optymalne rozwiązanie. Musi dotrzymać przysięgi. Do końca życia będzie się zmagać z koszmarnym poczuciem winy.

- Też napiję się wody - mruknął. Żadna to odpowiedź, ale tylko na to było teraz go stać.

- Tak, ta rozmowa pozostawiła po sobie niesmak.
No właśnie.

- Dziś rano była u mnie Edith.

Lance podniósł wzrok znad biurka.

- Jak się czuje?

McKenzie opadła na krzesło po drugiej stronie.

- Całkiem nieźle. Oczywiście musiała się poskarżyć na masę rzeczy, ale wygląda dobrze, a ostatnie prześwietlenie płuc wyszło pozytywnie. Ani śladu po zatorze.

- To świetnie. Edith to twarda sztuka.

- Żebyś wiedział.

Lance przyglądał się jej przez chwilę, odłożył długopis, podszedł do drzwi i zamknął je. Otoczył McKenzie ramionami.

- Co ty wyrabiasz?

- Ciii... Nic nie mów.

Cudownie się czuła w jego objęciach, mimo to zrobiła chmurną minę.

- Nie mów mi, co mam robić.

- Straszny z ciebie uparciuch. - Zaśmiał się cicho.

- Dopiero teraz na to wpadłeś?

- Nie. Wiedziałem, w co się wplątuję.

- I?

- Doceniam twój upór, choć czasami doprowadza mnie do szału.

- Tak jak teraz?

- Prawdę mówiąc, nie. Protestujesz, ale pozwalasz się obejmować.

- Po co to robisz? Ustaliliśmy, że w pracy będziemy się trzymać na dystans. Obiecałeś.

- To tylko przyjacielski gest. Chcę dodać ci otuchy, okazać

wsparcie. Przed tym się nie zarzekałem.

- Aha. - Co mogła na to powiedzieć? Miał rację. Potrzebuje tego uścisku.

I czegoś więcej. Czując przy sobie jego mocne ciało, wdychając jego zapach, marzyła o tylu innych rzeczach... O których w pracy nie powinna myśleć.

Odsunęła się od niego.

- Przepraszam, że zawróciłam ci głowę. Chciałam jedynie poinformować cię o Edith i o tym, że w czasie lunchu będę w szpitalu.

- Spotkamy się tam.

- Ale...

- Spotkamy się na lunchu - powtórzył.

- Uparty z ciebie człowiek.

- Z ciebie też.

Uśmiechnęła się lekko.

- No dobrze, to do zobaczenia na lunchu.

Musiał iść na nieplanowane wcześniej spotkanie przed potańcówką dla uczniów. McKenzie nie miała zamiaru brać udziału w balu, choć gorąco ją do tego namawiał. Ich związek niedługo się zakończy, więc lepiej nie angażować się zbyt, bo tym trudniej będzie się rozstać.

Zadzwoił telefon. Miała nie odbierać, ale wyświetlił się numer mamy, więc zmieniła zdanie. I szybko tego pożałowała, gdy usłyszała nowinę.

- Wychodzę za mąż.

Zamurowało ją. Rzuciła wszystko i obiecała przyjechać. Violet mieszkała w tym samym domu, w którym dorastała McKenzie. Kupionym jeszcze przez ojca, kiedy dopiero zaczynał karierę. Do tej pory matka dostawała od niego comiesięczny czek, który w jego mniemaniu całkowicie zwalniał go z troski o córkę.

- Co ty wymyśliłaś? - zapytała od progu, wchodząc do salonu Violet, i zatrzymała się jak wryta na widok mężczyzny siedzącego na kanapie. Znacznie młodszego do mamy. - Ile masz lat?

- A co to ma za znaczenie? - odparła mama. - Wiek to tylko liczba.

- Mamo, jeśli jestem od niego starsza, to natychmiast wycho-
dzą.

Matka popatrzyła na mężczyznę i zachichotała. Naprawdę za-
chichotała.

- Jest od ciebie osiem lat starszy.

- Czyli młodszy od ciebie o dziesięć lat - podsumowała. Nie
była hipokrytką, nie uważała, że ludzie powinni dobierać się
pod względem wieku, jednak chodziło o jej matkę. Dużo młod-
szy mężczyzna... nie potrafiła podejść do tego obojętnie.

- Owszem. I czuję się prawdziwą szczęściarą, że Yves poko-
chał mnie taką, jaką jestem: starą i w rozsypce - z cierpką iro-
nią odpowiedziała Violet. - Dziękuję Bogu, że go mam, bo w ra-
zie potrzeby poda mi chodzik czy pomoże w wyborze domu
opieki.

- Mamo... - Przeniosła wzrok z matki na jej nowego ukocha-
nego. Usiadła na kanapie. - Może powiesz mi coś więcej o wa-
szych planach, bo z tego, co wiem, to jeszcze na początku roku
byłaś singielką.

Przyzwyczała się do impulsywnych decyzji o ślubie podejmo-
wanych przez ojca, ale mama od rozvodu była sama. Czyli od
prawie trzydziestu lat. Romansowała, owszem, lecz nigdy nie
wyszła ponownie za mąż.

- Poznaliśmy się na przyjęciu noworocznym.

- Czyli trochę ponad miesiąc temu. Nie uważasz, że to za
szybkie tempo na zaręczyny?

- Pobieramy się - poprawiła ją matka. Wyciągnęła rękę, by
pokazać córce pierścionek. - Jesteśmy zaręczeni.

Pierścionek nie z brylantem, ale ze ślicznym szmaragdem ide-
alnie dobranym do koloru oczu Violet.

- Kiedy ślub?

- W walentynki.

Walentynki. To będzie jej pierwszy dzień po rozstaniu z Lan-
cem. A matka wtedy pójdzie do ołtarza.

Popatrzyła na swoją rodzicielkę.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Jak najbardziej.

- Ale co się stało? Dlaczego po tylu latach chcesz znowu wyjść

za mąż?

- McKenzie, do tej pory nie poznałam właściwej osoby. To jedyny powód, dla którego dotąd nie wyszłam za mąż. Wielu się o mnie starało i prosiło o rękę, ale nie chciałam. Dopiero gdy spotkałam Yvesa.

Nie miała pojęcia, że mama miała tyle propozycji. Jednak chodzi o jej matkę.

- Tata wie?

- A co to ma za znaczenie?

- Mamo, jeśli wyjdiesz za mąż, przestaniesz dostawać alimenty. Jak sobie poradzisz?

- Ja będę się o nią troszczyć - rzekł Yves, podnosząc się i stając przy Violet.

- Można wiedzieć jak?

- Prowadzę sklep ze zdrową żywnością, ten przy rynku.

Czytała o nowo otwartym sklepie i nawet zamierzała niedługo do niego zajrzeć.

- Nie tylko prowadzi - z dumą wtrąciła mama. - Jest właścicielem. Poza tym ma jeszcze dwa takie sklepy w pobliskich miastach.

Hm, czyli może nie chodzi mu o ustawienie się i życie na cudzy koszt.

- McKenzie, nie potrzebuję twojej zgody, żeby wyjść za mąż.

- Wiem, mamo.

- Ale miałam nadzieję, że ucieszysz się z mojego szczęścia.

Biła się z myślami. Jak ma się cieszyć, martwiąc się jednocześnie, że dla mamy ten układ źle się skończy? Widziała, jak ciężko przeżyła odejście ojca, jak przez lata zmagala się z depresją. Ma skakać z radości, patrząc, jak mama znów naraża się na ryzyko? Zwłaszcza że facet jest od niej tyle młodszy?

Chyba ostatnie pytania bezwiednie wypowiedziała na głos, bo mama popatrzyła na Yvesa promiennym wzrokiem i wzięła go za rękę.

- Po raz pierwszy od dawna, a może od zawsze, czuję, że jestem kochana. To cudowne uczucie, McKenzie. Mam nadzieję, że kiedyś nadejdzie dzień, kiedy zrozumiesz, co to znaczy.

Lance kolejny raz wybrał numer McKenzie. Dlaczego nie odbiera? Pojechał do niej, lecz w domu jej nie było. Gdzie ona się podziewa? Może jest u Cecilii? Był coraz bardziej zdesperowany.

W dodatku nie miał dla niej dobrych wieści. Pacjent, którego skierowała do izby przyjęć, miał zawał i został przewieziony śmigłowcem do Atlanty. Kiedy w szpitalu nie mogli skontaktować się z McKenzie, zadzwonili do niego, licząc, że może są razem.

Chciałby być z nią. I powinien, jednak musiał wziąć udział w ostatnim spotkaniu przed balem. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, zapowiadał się spektakularny sukces. Ale gdzie jest McKenzie?

Już miał odjechać, gdy ujrzał skręcający w ulicę jej samochód.

- Co ty tu robisz? - zapytała, wysiadając. - Już prawie dziesiąta.

No tak, powinien wrócić do siebie. Po co dziś jej mówić? Nic się nie stanie, jeśli dopiero rano dowie się o stanie tego pacjenta.

- Martwiłem się o ciebie.

- Nic mi nie jest.

- No to jadę. Niepokoiłem się, bo nie odbierałaś telefonu.

- Przepraszam. Miałam wyłączony dźwięk. Byłam u mamy. - Do tej pory nie miał okazji jej poznać. - Wychodzi za mąż.

- Za mąż?

- Wygląda na to, że znalazła wymarzonego kandydata.

- Nie wydajesz się z tego specjalnie zadowolona.

Wzruszyła ramionami.

- Znam go?

- Wątpię. Niedawno otworzył w centrum sklep ze zdrową żywnością.

- Yves St. Claire?

- Tak, to on. Znasz go?

- Poznałem go kilka dni po otwarciu sklepu. Fantastyczne miejsce. Robił wrażenie miłego gościa.

- I?

- I co?

- Nie wydaje ci się za młody dla mojej matki?
 - Nie miałem okazji poznać twojej matki, więc nie wiem, ale wiek to tylko liczba.
 - Ona dokładnie to samo powiedziała.
 - Gdybym był od ciebie młodszy, czy to by miało dla ciebie znaczenie?
 - Zależy o ile młodszy. Nie zadaję się z nieletnimi.
- Roześmiał się, oparł się wygodnie.
- W takim razie bardzo się cieszę, że jestem od ciebie kilka lat starszy.
 - Chcesz wejść do domu?
- Spłynęła na niego ulga.
- Już myślałem, że nie zapytasz.

Trzynasty i piątek. Naprawdę pechowy dzień.

Dziś mijają ustalone dwa miesiące.

Obiecała sobie, że rozstaną się bez zbędnych ceregieli, pożegnanie przebiegnie szybko i bez bólu. Jutro Lance ma swój bal, a za kilka dni znajdzie sobie nowy obiekt westchnień.

Chociaż nie do końca w to wierzyła. Gdy na nią patrzył, było coś w jego oczach. Coś, co dawało jej do myślenia. Chyba tak szybko o niej nie zapomni, chyba będzie potrzebował trochę czasu. Niestety, ona również.

Nie tylko trochę. Chociaż raczej nie trzydzieści lat, jak mama. Która dopiero po trzech dekadach odnalazła miłość i rozkwitła. Mama jest zakochana. I kochana.

Trwały przygotowania do ślubu. McKenzie miała być druhną, poznała družbę pana młodego. Skromna ceremonia miała się odbyć w miejscowym kościele.

- Nie zobaczymy się dziś wieczorem? - zapytał Lance.
- Idę ma próbne przyjęcie weselne.
- Mogę iść z tobą.
- To nie jest dobry pomysł.
- Dlaczego?
- To nasz ostatni wspólny wieczór i mamy iść na przyjęcie weselne? Zastanów się. To się nijak nie składa. Poza tym nie chcę, żebyś tam ze mną był.

Skrzywił się i niewiele brakowało, by cofnęła swoje słowa. Bo chciała mieć go przy sobie. I jednocześnie nie chciała. Im szybciej zakończą tę relację, tym szybciej wróci do swego zwyczajnego życia. Te dwa miesiące były jedynie miłym przerywnikiem w normalności.

- Powinienem ci powiedzieć, że Yves zaprosił mnie na ślub.

- Nie chcę, żebyś tam był.

- Będę o tym pamiętał. - Wyszedł z gabinetu, nie mówiąc nic więcej. Serce jej zadrżało, gdy bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Poszła na próbne przyjęcie, uśmiechała się i odgrywała rolę druhny. Jednak serce się jej ścisnęło, gdy patrzyła na mamę i Yvesa. Niedługo zostanie zupełnie sama. Czuła się coraz bardziej opuszczona.

To śmieszne.

Lubi być sama. Uwielbia być sama.

Nie chce być taka jak jej rodzice. Choć patrząc na rozpromienioną Violet, słysząc jej radosny śmiech, chybaby chciała być trochę taka jak ona.

Do domu wróciła po jedenastej. Lance przez cały wieczór się nie odzywał. Miała nieśmiałą nadzieję, że będzie na nią czekał pod domem.

Liczyła, że się spotkają. Nie czekał. To było gorzkie rozczarowanie. Ostatnia wspólna noc, a jego nie ma.

Już nigdy nie będą razem.

Sen nie przychodził, za to przyszły łzy.

To dlatego nie powinna się zgodzić na więcej niż miesiąc. Każdy dzień więcej tylko pogarsza sprawę.

Lance siedział w jednym z ostatnich rzędów po stronie pana młodego. W kościele zebrało się około pięćdziesięciu osób. Zabrzmiały pierwsze takty muzyki i pan młody z drużbą podeszli do pastora. Muzyka zmieniła się i ujrzał zbliżającą się uśmiechniętą McKenzie. Nie odrywała wzroku od ołtarza, jakby obawiała się zerkać na boki. Może rzeczywiście tak było.

Może naprawdę nie chciała, by tu przychodził. Wczoraj nie zadzwoniła. Kilka razy sprawdzał telefon, licząc, że może

McKenzie się odezwie, jednak tak się nie stało. Powtarzał sobie, że to dobrze, że trzyma się tego, co wcześniej ustalili, że dzięki temu jemu też będzie łatwiej.

Ich dwa miesiące się skończyły.

Zmieniła się muzyka i zgromadzeni wstali z miejsc. Przyglądali się pannie młodej podchodzącej do swego wybranka. Lance nie widział dotąd matki McKenzie, jednak natychmiast rozpoznał jej starszą wersję. Te same zielone oczy. Ta sama zgrabna sylwetka.

Na widok McKenzie serce mu się ścisnęło.

Rozpaczliwie chciał poprosić ją o jeszcze trochę czasu, jeszcze jeden dzień, tydzień, miesiąc.

Nie może. Nie zrobi tego. Poprzysiągł Shelby, że na zawsze pozostanie wierny jej pamięci.

Nie może być z McKenzie dłużej.

Nie ma do tego prawa. I nigdy nie będzie go mieć.

- Zaprosiłaś tatę? - wyszeptała McKenzie, biorąc od matki ślubny bukiet.

Matka uśmiechała się promiennie. Nie odpowiedziawszy na pytanie, odwróciła się do ukochanego, by złożyć małżeńską przysięgę. Była krótka i naprawdę piękna. McKenzie z trudem hamowała wzruszenie, słysząc słowa napisane przez mamę dla mężczyzny, którego znała mniej niż dwa miesiące.

To krócej, niż McKenzie spotykała się z Lance'em.

Gdy przyszła kolej na Yvesa, łzy same popłynęły jej z oczu. Jeśli będzie kochał matkę tak mocno, jak kocha ją dzisiaj, to na pewno szybko dogada się z ojczymem. A mama będzie prawdziwą szczęściarą.

Pastor ogłosił młodą parę mężem i żoną.

Błysnęły flesze i niedługo później rozpoczęło się skromne przyjęcie. McKenzie dostrzegła Lance'a rozmawiającego z wysoką blondynką, kuzynką pana młodego. Na ten widok poczuła piekącą zazdrość, lecz udała, że ich nie zauważyła. Podeszła do ojca wychylającego szklaneczkę trunku.

- Nie wierzę, że cię tu widzę.

- Zaprosiła mnie. - Odstawił pustą szklanekę.

- Nie musiałeś przychodzić.

Popatrzył jej w oczy.

- Oczywiście, że musiałem. Dla mnie to również jest wielki dzień.

- Koniec z alimentami, co? - zapytała cierpko.

Po raz pierwszy od dawna ojciec uśmiechnął się naprawdę szeroko.

- No właśnie.

- Wygląda na bardzo szczęśliwą.

Ojciec odwrócił się i popatrzył w stronę matki.

- Owszem. To wspaniale.

- A ty? Gdzie twoja żona?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie w domu. Tak myślę.

Wymówił się i podszedł do pogrążonych w rozmowie Lance'a i blondynki. Jak nic spróbuje ją poderwać.

Chyba mu się udało, bo niedługo potem Lance wyrósł obok McKenzie.

- Wyglądasz przepięknie - rzekł półgłosem.

Nie da mu się zwieść. Zachowa chłodny spokój. W każdym razie spróbuje.

- Cecilia czyni cuda.

- Rzeczywiście ma wielki talent.

Rozmowa się nie kleiła. Oboje byli spięci. Oboje nie wiedzieli, od czego zacząć.

- Widziałam, że poznałeś mojego ojca - odezwała się McKenzie, by przerwać przedłużającą się ciszę.

Zaskoczyła go kompletnie, widziała to po jego minie.

- To twój ojciec?

Rozśmieszyła ją jego reakcja.

- Tak. Przykro mi, że wszedł ci w paradę, kiedy chciałeś usiłowić tę blond piękność.

- Nie miałem takiego zamiaru - zaoponował. - A gdybym miał, to zaręczam ci, że nikt by mi nie wszedł w paradę, łącznie z twoim ojcem. - Przesunął wzrok na flirtującą parę. Blondynka zaśmiewała się zalotnie. - Czy on nie jest żonaty?

McKenzie kiwnęła głową.

- Wierność nie jest jego mocną stroną. Już ci mówiłam.

Lance skrzywił się tylko.

- To raczej dziwne, że przyszedł na ślub twojej matki.

- Też tak myślałam, ale mama go zaprosiła, więc się zjawił. Oboje są pokręceni. O tym też ci mówiłam.

Lance przeciągle popatrzył na McKenzie, spojrział na zegarek, jakby czas go gonił.

- Muszę przeprosić, ale na mnie pora. Dziś jest ten walentynkowy bal, mam trochę do zrobienia.

- Och, zapomniałam. - Czy dostrzegł jej rozczarowanie? Z pewnością tak.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- McKenzie, jest tyle rzeczy, które bym ci powiedział.

- Ale?

- Ale ty już to wszystko wiesz.

- Nie wszystko.

Uniósł brwi, McKenzie potrząsnęła głową. To nie jest moment, by pytać o Shelby. Czas, który na to był, już minął. Najwyraźniej Lance też tak uważał, bo dodał:

- Było wspaniale.

Kiwnęła głową, próbując powstrzymać łzy.

- Miałś otwarty samochód, więc zostawiłem ci coś na przednim siedzeniu.

- Zostawiłeś mi coś? Po co?

- Drobiazg z okazji walentynek.

Prezent na walentynki? Przecież się rozstali. Nie kupiła mu zwyczajowej kartki.

- Ja nic dla ciebie nie mam.

- Nie musisz. Nasze dwa miesiące dobiegły końca. - Ponownie popatrzył na zegarek. - Żegnaj, McKenzie. - I nagle, nie bacząc na obecność jej matki, ojca i nowego ojczyma pocałował ją.

To nie był zdawkowy buziak, lecz prawdziwy, przepełniony żalem i emocjami pocałunek. Domagający się reakcji. Zamrugła, zaskoczona. Przez moment wyglądało, że chce jej coś powiedzieć, jednak potrząsnął głową i zniknął.

- Kto to był? - zapytała matka, podchodząc do McKenzie, gdy

Lance wyszedł.

- Też chciałbym się dowiedzieć - dołączył do niej ojciec. - Dlaczego cię pocałował?

- Pracujemy razem - odpowiedziała krótko, nie chcąc się wdawać w wyjaśnienia.

- Ma to po tobie - zaatakowała matka ojca. - Też uważa, że powinna całować się z ludźmi z pracy.

- Violet - zaczął ojciec, krzyżując ramiona i posyłając jej kwaśne spojrzenie.

Matka najwyraźniej dała za wygraną, bo uśmiechnęła się promiennie.

- Chodź, poznam cię z twoim znacznie młodszym, znacznie bardziej męskim i lojalnym zmiennikiem.

- Szukanie długo trwało - zadrwił.

- Niektórzy są bardziej wybredni niż inni.

Odprawiała wzrokiem docinających sobie rodziców. Jeszcze nie było szóstej, a już czuła się wyprana z sił.

Dużo później, już po odjeździe młodej pary, McKenzie pozbięrała swoje rzeczy i ruszyła do wyjścia.

Wsiadła do samochodu i od razu spojrzała na stronę pasażera. Na podłodze wazon z bukietem czerwonych róż, a na fotelu pudełko. Czekoladki? Raczej nie, sądząc po wielkości. Rozerwała papier i uśmiechnęła się z niedowierzaniem, widząc zawartość. Buty do biegania.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Z tobą nie jest dobrze. I sama o tym wiesz.

McKenzie nie zamierzała dyskutować z przyjaciółką. Cecilia ma rację. I właśnie nakładała jej farbę, więc lepiej nie ryzykować.

- Powinnaś z nim pogadać.

- Kto powiedział, że chodzi o niego?

Cecilia popatrzyła na odbicie przyjaciółki w lustrze.

- Nadal nie pogodziłaś się z tym, że twoja mama wyszła za mąż? Myślałam, że masz to już za sobą.

- Mam to za sobą. - Jak mogła żywić jakiś żal? Matka była szczęśliwa jak nigdy. Zmieniła się diametralnie, wstąpiła w nią niespotykana dotąd energia i radość życia.

Yves zabrał ją na miesiąc miodowy do Ameryki Południowej, gdzie mieli obserwować ptaki. Od czasu powrotu mama była radosna jak skowronek. Teraz razem z mężem pracowała w sklepie ze zdrową żywnością.

Kobieta, która w zasadzie nigdy nie skalala się pracą.

- Czyli w grę wchodzi Lance.

- Dlaczego?

- Bo wciąż bujasz w obłokach i zachowujesz się jak stęskniony psiak. Jeśli nie przez niego, to przez kogo?

- Wcale tak nie jest - zaproponowała nieco zbyt gwałtownie.

- Oczywiście, że jest.

- Nie jestem stęsknionym psiakiem - zaprotestowała, bo przynajmniej to było prawdą.

Cecilia wybuchnęła śmiechem.

- Wmawiaj to sobie, może kogoś uda ci się przekonać.

Milczała. Przyglądała się, jak przyjaciółka nakłada farbę na pasmo włosów, a potem owija je srebrną folią.

- Wyrzuciłaś już te róże?

Co to ma za znaczenie, czy nadal trzyma róże, które dostała

od Lance'a? Jeszcze nie całkiem zmarniały.

- Nie odpowiem ci.

- Minął miesiąc. Już dawno przekwitły. Wyrzuć je.

- Pomyślałam, że może zrobię z nich potpourri.

- No jasne. - Cecilia zaśmiała się bezczelnie. Sięgnęła po następne pasmo włosów. - A co z butami?

- Nie rozumiem.

- Nie udawaj głupiej. Za długo się znamy. Nosilaś je już?

Tak to jest z najlepszymi przyjaciółmi. Znają nas za długo i za dobrze.

- Przymierzyłam je - odparła, nie zdradzając, że zrobiła to już z tuzin razy. Wpatrywała się w nie i zastanawiała, co Lance chciał jej przekazać, dając taki prezent. - Są idealne.

- To mnie nie dziwi. Lance zwraca uwagę na szczegóły.

Fakt. Zauważył, że w podbramkowej sytuacji zwykle rzuca się do ucieczki. Ale też nie próbował przekonać jej do czegoś innego. Gdyby w walentynki poszła z nim na bal, prosiłby o coś więcej? Tyle razy zadawała sobie to pytanie i nadal była w rozterce. Bo nie tylko ona robiła uniki.

Może też powinna kupić mu buty do biegania.

- Chyba kiepsko zrobiłam, dając mu odejść?

Cecilia patrzyła na nią z rozbawieniem.

- Gdybyś trochę szybciej kombinowała, musiałabym cię nazwać Einsteinem.

- To nie był wyłącznie mój wybór. Lance odszedł w przeddzień ślubu mojej mamy.

- Dał ci róże i buty do biegania.

- Buty do biegania. Co to za prezent?

- To świadczy, że zna cię lepiej, niż myślisz. Biegiesz i uciekasz: fizycznie, mentalnie i emocjonalnie. Dał ci też czerwone róże. A co to oznacza?

- Nie to, co sugerujesz. Nie mówił, że mnie kocha.

- Chciałabyś tego?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz. - Cecilia nałożyła farbę na kolejne pasemko.

- Kochał kobietę, która umarła. Nie mogę rywalizować z du-

chem.

- Ona odeszła. Nie jest dla ciebie rywalką.

- Cecilio!

- Nie chcę być obcesowa, ale jeśli on kocha kobietę, której nie ma, to ona nie jest dla ciebie zagrożeniem. Chyba że na to pozwolisz.

- Nigdy mi nawet o niej nie powiedział.

- Ty też jeszcze nie powiedziałaś mu wielu rzeczy. Na to jest czas do końca życia.

- Umówiliśmy się na krótki romans.

- Nie podpisywałaś umowy. Warunki mogą się zmienić.

- Au! - jęknęła McKenzie, bo Cecilia szarpnęła ją za włosy.

- Przepraszam. - Sądząc po błysku w oczach przyjaciółki, było to celowe. - Możesz pociągnąć wasz układ. I powinnaś.

- On wcale tego nie chciał. Tak jak i ja.

- No jasne. Dlatego teraz usychasz z tęsknoty.

- Wcale nie - skłamała. - Poza tym widuję go w pracy.

- I jak ci z tym?

- Marnie. I dziwnie. Dokładnie tak, jak się obawiałam. Wiedziałam, że nie powinnam się wdawać w romans z kimś z pracy.

- Więc czemu to zrobiłaś?

- Bo... bo inaczej nie mogłam.

Cecilia popatrzyła na nią z rozpromienioną miną.

- No i sama widzisz. Czemu tak się opierasz? Czemu wciąż zaprzeczasz, że ci go brakuje? Dla mnie to bez sensu.

- Brakuje mi go - przyznała. - Cieszysz się? Brakuje mi Lance'a. Jego widoku, uśmiechu, zapachu, smaku. Wszystkiego, co się z nim wiąże.

Cecilia obróciła ją ku sobie i spojrzała w oczy ze współczuciem.

- Kobieto, jak możesz nie widzieć tego, co jest oczywiste?

- Uważasz, że go kocham.

- A nie?

Nie kocha go. Nie może. Nie powinna. Kocha go.

- I co mam teraz zrobić?

- Weź przykład z mamy. I zamiast się bać, chwytaj szczęście.

Przez lata robiła wszystko, żeby nie być taka jak jej matka.

Ale mama, choć tyle przeżyła, otworzyła się na miłość, zaufała mężczyźnie i tryska teraz szczęściem. Dlaczego jej to nie może się udać?

Może nie jest taka jak tata. Ani taka jak mama.

Może ma w sobie cechy ich obojga, może wyciągnie nauzkę z ich błędów i sukcesów i stanie się lepsza?

Teraz jest w kropce. Nie może się pozbierać.

- Chcę go odzyskać - wyznała.

- Świetnie - z satysfakcją podjęła Cecilia. - Jak chcesz to zrobić?

- Umówiliśmy się na dwa miesiące. I ani dnia więcej. Jemu to też odpowiadało. Nie walczył o mnie. - Lance odszedł, nie oglądając się za siebie. - Oddał serce innej.

- Która nie może go mieć - przypomniała Cecilia. - Jeśli ci na nim zależy, sama o niego zawalcz. Pokaż mu, że chcesz z nim być, ile dla ciebie znaczy.

Chciała go odzyskać, chciała o niego walczyć, pokazać mu, jak bardzo go jej brakuje.

- Tylko jak to zrobić?

Cecilia popatrzyła na plakat na drzwiach salonu zapraszający na imprezę w centrum seniora z okazji dnia świętego Patryka.

- Mam idealny pomysł.

McKenzie nieufnie popatrzyła na rozpromienioną przyjaciółkę.

- Coś czuję przez skórę, że mi się nie spodoba.

Lance wniósł na scenę ogromną czterolistną koniczynę, szukając najlepszego ustawienia, by światło odbijało się od błyszczącej powierzchni.

- Tak jest dobrze! - zawołał jeden z wolontariuszy.

Gdy scenografia była gotowa, Lance wrócił do prowizorycznej garderoby, by przygotować się do występu. Dzisiaj przypadła mu rola prowadzącego.

Musi się skoncentrować. Przestać zadręczać się myślami. Zatrzymać wspomnieniem dramatycznych wydarzeń sprzed lat, gdy jako siedemnastolatek na zawsze stracił miłość swego życia.

Czy naprawdę? Shelby była jego pierwszą miłością, a śmierć brutalnie ich rozdzieliła. Z jego winy.

To przez niego Shelby nie ma wśród żywych. Poprzysiągł jej, że nigdy o niej nie zapomni, że na zawsze pozostanie w jego myślach i sercu. Czy nie dlatego zaangażował się w działalność społeczną?

Robił wszystko, by uchronić nastolatków przed złym wyborem, żeby nie musieli przechodzić przez piekło, jakie stało się jego udziałem. Gdyby wtedy szkoła zaproponowała im ciekawy wieczór, gdyby nie poszli bawić się z rówieśnikami, gdyby nie pili. Gdyby nie pozwolił jej na alkohol, gdyby nie uparł się, że to on poprowadzi samochód... Gdyby, gdyby...

Przez całe życie zadaje sobie te pytania, ale przecież nie cofnie czasu. Nie przywróci życia Shelby. Jedyne, co mu pozostało, to troska o młodzież, wpływ na jej losy.

Starał się być powiernikiem i doradcą młodych ludzi. Inspirował ich, zachęcał do dobrych wyborów.

Shelby byłaby z niego dumna. Taką w każdym razie miał nadzieję. To go napędzało, motywowało do działania.

- Już jest pełna sala - powiedział ktoś z ochotników. - To był świetny pomysł, doktorze.

- Nie moja zasługa. To inicjatywa ludzi z centrum seniora.

- Zostało tylko kilka wolnych miejsc - uściśliła Lanette, dyskretnie odchylając kurtynę - a do rozpoczęcia mamy jeszcze kwadrans.

Występowali wolontariusze, którzy brali udział w przedstawieniu bożonarodzeniowym. Dodatkowo Lance zwerbował iluzjonistę; jeśli jego występ się spodoba, to może uda się go zaangażować na bal wieńczący zakończenie szkoły.

O siódmej Lance wszedł na zaimprovizowaną scenę. Powitał przybyłych i rozpoczęły się występy. Zebrani oklaskami nagradzali każdy numer. Iluzjonistę również pożegnali głośnymi brawami. Na scenę weszła Lanette. I zapowiedziała coś, czego nie było w programie. Lance spochmurniał. Dlaczego mu o tym nie powiedziała?

Wtedy ją zobaczył. McKenzie, w pobłyskującej zielonej sukience, zbliżała się do sceny. Co ona tu robi?

Domyślił się, jeszcze nim Lanette podała jej mikrofon.

McKenzie będzie śpiewać. Dlaczego? I dlaczego serce nagle załomotało mu w piersi, choć nie ma prawa do takiej reakcji? I do takiej radości na jej widok.

Panicznie się bała, że zaraz się potknie i upadnie. Gdyby zamiast tych niebotycznych obcasów miała na nogach buty do biegania! Jednak Cecilia była nieugięta. Na obcasach nogi McKenzie wyglądały fantastycznie.

Kolana jej drżały, szła jak na ścięcie.

Po co się na to porwała? Mogła zadzwonić czy wysłać esemesa. Jednak to nie to samo. Cecilia miała rację, że musi zrobić coś absolutnie nieprzewidywalnego, bo tylko tak przekona Lance'a, że jej na nim zależy.

Cecilia załatwiła jej lekcje śpiewu, więc przez cały tydzień przygotowywała się do dzisiejszego występu. Również zaaranżowanego przez Cecilie.

Teraz wszystko się zdecyduje.

Czuła na sobie wzrok widzów. Czekają, aż zacznie płakać czy krzyczeć? Nie, przecież przyszli tu dla rozrywki. Tylko że ona nie potrafi śpiewać. Tydzień przygotowań to za mało. Przywołała się do porządku. Nie liczy na karierę; jej celem jest Lance. Oby dał jej szansę.

Rozległy się dźwięki muzyki. Ostrożnie zaczęła wchodzić na scenę. Pierwszy stopień, drugi, trzeci. Udało się. Teraz żeby tylko nie upaść.

Z uśmiechem podeszła do Lance'a, przesunęła dłońią po kołnierzyku jego koszuli. Poczowała bijące od niego ciepło. Jednak są na scenie, ludzie na nich patrzą. Musi panować nad pokusami. Nabrała powietrza i zaczęła śpiewać. O podążaniu za marzeniami.

Wyjdzie na idiotkę, jeśli Lance się cofnie. Może nie wybaczyć jej tego posunięcia. Jednak Cecilia ma rację. Musi podjąć ryzyko. Zawalczyć o niego. Zaśpiewać.

Patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem. I odetchnęła dopiero wtedy, gdy Lance się uśmiechnął.

Dzięki Bogu. Przynajmniej nie wyszła na głupią.

Gdy skończyła śpiewać, Lance objął McKenzie i pocałował ją w czoło. Rozległy się gromkie oklaski.

- Ukłoń się - szepnął, ściskając jej rękę.

Usłuchała, choć czuła się dość dziwnie.

Zeszli ze sceny, na którą teraz weszła Lanette.

- Co ty tu robisz? - zapytał, gdy znaleźli się z dala od widzów.

Nie tego się spodziewała. Choć na co liczyła? Że Lance od razu się domysli? Jest mężczyzną, a do mężczyzn trzeba mówić prosto z mostu, co Cecilia ciągle jej powtarza.

- Przyszłam zaśpiewać dla ciebie.

- Myślałem, że nie lubisz śpiewać.

- Nie lubię.

- W takim razie dlaczego?

- Bo chcę być częścią twojego życia. Dwa miesiące to za mało. Chcę więcej. Potrzebuję więcej.

Zawahał się, pociągnął ją w tył.

- Musimy porozmawiać, ale to nie czas i miejsce.

- Faktycznie - przyznała, widząc ciekawe spojrzenia stojących w pobliżu wykonawców.

- Muszę zostać tutaj, a potem podziękować wszystkim.

- Dobrze. Będę na ciebie czekać.

- Na pewno?

- Jeśli to jeszcze do ciebie nie dotarło, chcę być blisko ciebie. Dwa miesiące to za mało. Przynajmniej dla mnie. Chyba że... nie masz jeszcze nikogo, prawda?

Wcześniej o tym nie pomyślała. Nie była w stanie sobie tego wyobrazić. Po tym, jak na nią patrzy? Jednak czasami ludzie robią bardzo głupie rzeczy.

- Nie ma nikogo innego. Tylko ty.

Twarz mu nagle zbladła. McKenzie zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała gorąco, wkładając w to całe swoje serce. Ktoś odchrząknął znacząco.

- Przepraszam - powiedziała i szybko się poprawiła. - Nie, wcale nie przepraszam. Nie za ten pocałunek. Tylko za to, że przez miesiąc cię tak nie całowałam. Brakowało mi ciebie.

Cofnął się bez słowa. Już i tak powiedział za dużo.

Powiedział, że nie ma nikogo innego. Tylko ona. Jak mógł to powiedzieć?

Dławiło go w piersi, brakowało powietrza.

Wrócił na scenę. Myślami wciąż błądząc przy tym, co się stało. Tylko ona. Tylko McKenzie. Nie Shelby. Jak mógł to powiedzieć? Jak mógł tak pomyśleć?

Po podziękowaniach dla wykonawców i oklaskach nadeszła pora na słowa wdzięczności za wsparcie okazane przez przybyłych. Ich datki wspomogą działania na rzecz uczniów kończących szkołę.

Zaczął mówić i nagle słowa same popłynęły. Po raz pierwszy mówił to głośno.

- Wiele osób pytało mnie, dlaczego tak zaangażowałem się w tę działalność - rzekł, patrząc na widownię niewidzącym wzrokiem. - Zwykle odpowiadałem, że mam do tego ogromne przekonanie. Jednak jest coś więcej. Jestem dowodem na to, że taki program jest bardzo potrzebny. Gdy byłem w przedostatniej klasie liceum, moja dziewczyna, która właśnie dostała dyplom, zginęła w wypadku, bo prowadziłem po alkoholu. Straciłem panowanie nad kierownicą i uderzyłem w drzewo. Prze-transportowali nas śmigłowcem do szpitala. Zmarła tej samej nocy.

McKenzie zakryła usta dłonią. O Boże. Dlaczego nic jej nie tknęło, dlaczego się nie domyśliła?

- Moje oddanie sprawie bierze się z osobistego doświadczenia, z moich własnych błędów. I nadziei, że dzięki temu ustrzeżemy młodych ludzi przed dramatem. - Głos mu się łamał.

- Chcę w ten sposób zachować pamięć o Shelby, niech jej życie i śmierć przysłużą się dla dobra innych. To była wyjątkowa osoba. I wiele by zrobiła dla świata, gdyby miała szansę.

Łzy popłynęły McKenzie po policzkach. Całą sobą odbierała jego cierpienie. I poczucie winy, które go przytłaczało. Kochał Shelby. Oddał jej serce. Na zawsze.

- Dziękuję państwu za obecność i za to, że dzięki wam pamięć o Shelby wciąż jest żywa. I za wsparcie programu, który może odmienić życie młodych ludzi.

Zapadła cisza. Dopiero po chwili ktoś zaklaskał. Sala zatrzęsa się od braw. McKenzie obserwowała, jak Lance mówi coś do Lanette, a potem schodzi ze sceny.

Czekała na niego, lecz się nie zjawiał.

- Poprosił, żebym cię przeprosiła w jego imieniu, ale musiał wyjść - powiedziała Lanette cicho.

- Wszedł? - Wszedł. Jak mógł to zrobić, wiedząc, że na niego czeka? Że przyszła o niego walczyć?

Wiedziała. Od razu się domyśliła. Bo sama była w tym mistrzynią. W uciekaniu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lance klęczał przy grobie, zastanawiając się, czy nie zwariował, przyjeżdżając tu w środku nocy. Po wyjściu z centrum seniora wsiadł do samochodu i jechał przed siebie bez celu. Gdy wreszcie zdał sobie sprawę, dokąd jedzie, dochodziła jedenasta.

Może dobrze się stało, że się tu znalazł. Może spojrzy na wszystko z innej perspektywy. Bo gdy patrzył w oczy McKenzie, gdy dla niego śpiewała, nagle go olśniło.

Kocha ją. Nieważne, czy to dobrze, czy źle. Po prostu ją kocha. A ona kocha jego. Może zawsze to wiedział, widział to w jej oczach, czuł w jej dotyku, w pocałunkach.

Patrzyła na niego tak, jak jej matka patrzy na Yvesa. Jak jego mama patrzy na tatę. Jak babcia patrzy na dziadka.

Dziś wieczorem McKenzie też tak na niego patrzyła. Nie ukrywając tego, co do niego czuje. Był w siódmym niebie, bo już wiedział, że go kocha i pragnie.

I wtedy rzeczywistość uderzyła go jak obuchem w głowę. Nie dla niego ta miłość. Ślubował serce innej, tej, której się nie wypłaci do kresu swych dni. Teraz żałował tej przysięgi, budziła w nim niechęć. Shelby też.

Przez to czuł jeszcze większe wyrzuty sumienia.

- Shelby, przebacz mi. Przebacz mi tamten wieczór - błagał. Po raz kolejny. Tak było przez lata. - Wybacz, że ja żyję, a ciebie już nie ma.

Gdyby mógł, oddałby własne życie, żeby ocalić jej.

Stojąc przy jej grobie, przysięgał, że zawsze będzie ją kochać, nigdy się nie ożeni. Spotykał się z kobietami, wchodził w przelotne związki, ale nigdy go nie kusilo, żeby złamać obietnicę daną Shelby. Aż do dzisiaj.

Z McKenzie wszystko się zmieniło. Chciał z nią być.

- Shelby, wybacz mi. Wybacz mi uczucie do McKenzie. Polubiłabyś ją, byłabyś do niej podobna. Ona też uwielbia bieganie,

tak jak ty. Jest lekarką, tak jak sobie wymarzyłaś. Kocham ją, tak jak zawsze chciałem kochać ciebie.

Poczucie winy było nie do zniesienia.

Otarł mokre policzki. To szaleństwo. Po co tu przyjechał? Chyba naprawdę oszalał. Dziś wieczorem głośno wyznał swoją największą tajemnicę. Powiedział wprost, że Shelby zginęła przez niego.

Nikt nie postawił mu takich zarzutów. Ani władze, ani rodzina Shelby czy jego. Shelby miała osiemnaście lat, była od niego o rok starsza. Już wcześniej przyłapano ją po alkoholu. Zachował się beznadziejnie, starając się dorównać jej towarzysko. Ale nawet wtedy zdawał sobie sprawę, że nie powinien pić ani siadać za kierownicą.

Wspomnienia tamtego wieczoru wciąż były żywe. Przez lata próbował odsuwać je od siebie, nie chciał pamiętać.

Roztańczona Shelby. Jej roześmiana buzia, radosny śmiech. Dziewczyna tryskająca energią. I rozbawiona alkoholem. Tego sobie nie żałowała.

Wciąż było jej mało. Uparła się, że weźmie jego samochód i pojedzie po kolejną butelkę. Doszło do kłótni.

Sam już trochę wypił, ale zdawał sobie sprawę, że w tym stanie Shelby nie może jechać. On również nie. Nie dał jej kluczyków. Zaczęła biec, wołając przez ramię, że jeśli jej nie podwiezie, sama pobiegnie do sklepu. Powinien był jej pozwolić. Może by po drodze wytrzeźwiała.

Jej kumple zaczęli się nabijać, żartować, że dziewczyna go olewa. Wtedy wsiadł do samochodu i pojechał za nią.

Nie jechali do sklepu, gdy doszło do wypadku.

Odwoził ją do domu. Kłócili się po drodze. Kpiła z niego, mówiła, że jest dzieciakiem, nie mężczyzną.

Z gniewem odpierał jej zarzuty. Nagle Shelby złapała za kierownicę. Wtedy stracił kontrolę nad samochodem i uderzył w drzewo. W pamięci pozostały mu jedynie strzępki obrazów. Kiedy się ocknął, wiedział, że rozbił samochód. Czuł zapach oleju i benzyny.

Wtedy po raz pierwszy poczuł zapach krwi. Mocny, wszechogarniający. Samochód był zalany krwią. Jego. I Shelby. Słyszał

ludzi próbujących wyciągnąć ich z wraku, odgłos ciętego metalu, i znów stracił przytomność. Ocknął się już na zewnątrz.

- Nie mogę jej zostawić - powiedział ratownikom.

- Wyciągniemy ją, synu. Zabierzemy was do szpitala.

- Powiedzcie jej, że ją kocham. Że zawsze będę ją kochać.

- Powiemy, synu. Niosą ją do śmigłowca, ale przekażę wiadomość.

- Proszę. Niech pan jej powie. Teraz. - Próbował się poruszyć, by iść do niej, lecz ciało odmawiało posłuszeństwa. Nigdy jej tego nie powiedział. Nie wiedział, czy ratownik powtórzył Shelby jego słowa.

Gdy wyszedł ze szpitala, powiedział jej to sam.

Przy jej grobie.

- Przepraszam cię, Shelby. Kocham ją. Nigdy nie myślałem, że mogę tak kochać. Kocham McKenzie.

Mówił z głębi serca. Dzielać się z Shelby najskrytszymi myślami.

Po raz pierwszy poczuł, że splywa na niego spokój. Spokój i ulga. Nigdy nie pogodzi się z tym, co się stało, nigdy nie uwolni się od wyrzutów sumienia, ale miał dziwne poczucie, że Shelby jest teraz przy nim, że mu wybacza, że chce, by wreszcie zaczął normalnie żyć.

Może to tylko wyobraźnia? Wmawia sobie coś, czego nie ma? Łudzi się i chce wierzyć, bo pragnie McKenzie?

- Shelby, daj mi znak. Daj znak, że naprawdę mi przebaczyłaś - rzekł błagalnie.

Podniósł wzrok i wtedy ujrział ducha.

McKenzie nie mogła już dłużej się ukrywać. Od pół godziny stała za masywnym nagrobkiem, płacząc i zastanawiając się, czy wyjść, czy może wycofać się ukradkiem. Lance był tak zagrożony w myślach, tak poruszony bolesnymi wyznaniem, że nie zauważył jej nadejścia. Uciekł od niej.

Ale kocha ją. Wiedziała o tym, jeszcze zanim teraz powiedział to na głos. Będzie o niego walczyć, nie odejdzie. Przecież Shelby nie żyje od ponad piętnastu lat.

Słyszała cierpienie w jego głosie i serce pękało jej z bólu. Mo-

dliła się, by wreszcie odnalazł spokój, dał sobie rozgrzeszenie, przestał się obwiniać. Gdy poprosił Shelby o znak, była gotowa przysiąc, że z tyłu ktoś ją popchnął. Tak mocno, że aż się zachwiała i poleciała do przodu.

- Shelby?

- Lance, to ja, McKenzie. - Serce jej się krajało.

Lance przetarł oczy.

- McKenzie? Co tu robisz?

- Pojechałam za tobą.

- Pojechałaś za mną?

- Jechałeś wolno, więc nie było problemu. - Dopiero teraz to sobie uzmysłowiła. Miał szybki samochód, ale nigdy nie przekraczał prędkości. Już rozumiała dlaczego.

- Nie widziałem cię wcześniej.

- Zostałam w samochodzie. Nie chciałam zakłócać ci prywatności, ale jest już po północy i trochę nieswojo się czułam na cmentarzu.

- Nie powinnaś być tutaj.

- Mylisz się. Moje miejsce jest tutaj. Przy tobie.

- Nie rozumiem.

- Kochasz mnie. A ja kocham ciebie. Może też kochasz ją, lecz jej tu nie ma. - Ktoś ją popchnął, ale to chyba jej wyobraźnia? - Ja jestem tutaj, Lance. Bałam się popełnić błędy moich rodziców, ale to już przeszłość. Nie jestem taka jak ojciec, choć może bardziej, niż myślałam, poszłam w mamę. Powiedziałeś, że mój ojciec kochał siebie bardziej niż mamę czy mnie, dlatego tak postępował.

- Nie powinienem tak mówić.

- Bardzo dobrze zrobiłeś. Bo miałeś rację. Lance, kocham cię. Kocham cię i wiem, że ty jesteś dla mnie. A dochowanie ci wierności nie będzie problemem, bo nie chcę nikogo innego.

- McKenzie, nie jestem wart twojego podziwu. Słyszałaś, co dziś powiedziałem?

- Słyszałam i jeszcze bardziej cię za to kocham.

W świetle księżyca widziała, że jest stropiony.

- Jak możesz kochać mnie za to, za co sam siebie nienawidzę?

- Życie cię doświadczyło, ale wyciągnąłeś z tego naukę i sta-

łeś się wspaniałym człowiekiem. Dbasz o innych, chronisz ich przed złem, które było twoim udziałem.

- Mówisz, jakbym był bohaterem. A nie jestem.

- Dla mnie jesteś. Lance, jesteś moim bohaterem. Pokazałeś mi, czym jest miłość.

Zamknął oczy.

- Nie mów, że mnie nie kochasz, bo sama to słyszałam. Zresztą już to przeczuwałam. Dlatego zaśpiewałam dla ciebie, dlatego za tobą pojechałam. Bo wierzę w tę miłość.

- Nie zasługuję na ciebie.

- Jestem uparta, a kiedy zaczyna robić się nieciekawie, zwykle rzucam się do ucieczki, ale popatrz. - Podniosła nogę. W samochodzie zdjęła szpilki i włożyła buty do biegania. - Widzisz? Mój facet dał mi je na walentynki, żebym przybiegła do niego. On jeszcze o tym nie wie, ale mam dla niego buty, żeby mógł przybiec do mnie.

- Wiedziałaś, że chcę uciec?

- Śpiewam kiepsko, więc nie liczyłam, że cię oczaruję.

- Śpiewałaś pięknie.

- Podobno niektórych miłość zaślepia, ale tobie chyba padła na uszy.

- McKenzie, kocham cię.

- Wiem.

- Złożyłem przysięgę Shelby.

- I dotrzymałeś jej przez wiele lat. Pora ruszyć do przodu. Prosiłeś Shelby, żeby dała ci znak. Ten znak to ja. To, co do siebie czujemy. - Objęła go, oparła czoło o jego brodę. - Nie chcę, żebyś o niej zapomniał. To dzięki niej jesteś taki, jaki jesteś. Mężczyzną, którego kocham. Ale nie możesz wciąż się obwiniać. Przeszłości nie zmienisz, jedynie przyszłość. Chcę być twoją przyszłością.

- Co masz na myśli, McKenzie?

- Że dwa miesiące to za mało, żeby przekonać się, co nam przyniesie przyszłość.

Przytulił ją mocno. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę trzyma ją w ramionach, że o północy McKenzie jest z nim przy grobie Shelby.

Nie mógł uwierzyć, że McKenzie tak się otworzyła, wyznała, jak bardzo jej na nim zależy.

- Jeśli to zrobimy - zaczął z bijącym sercem - to już nigdy nie pozwolę ci odejść. Wiesz o tym?

Przywarła do niego jeszcze mocniej.

- Może to do ciebie nie dotarło, ale taki miałam pomysł.

EPILOG

- Patrz, puścił do ciebie oko.
- Tak, widziałam. - McKenzie kiwnęła matce głową.
- Ma taki irytujący zwyczaj - z niesmakiem dodała Cecilia.
- Po prostu jesteś zazdrosna - zażartowała McKenzie.

Cieszyła się szczęściem matki, która wraz z Yvesem siedziała z nimi na widowni. Dla niej też ostatnie dziewięć miesięcy było pasmem szczęścia. Kochała Lance'a, a on odwzajemniał jej uczucie. Coraz rzadsze były momenty, kiedy do głosu dochodziły jej dawne lęki. Lance też stopniowo przewycięzał dręczące go poczucie winy.

Tydzień przed rozdaniem dyplomów wygłosił przemowę do przyszłych absolwentów. Opowiedział o swoim dramacie, konsekwencjach, z jakimi musiał mierzyć się przez całe życie. Ku jego zaskoczeniu komitet obchodów ustanowił stypendium imienia Shelby Hanover i pierwszy beneficjent od razu je otrzymał.

- Patrz, woła cię na scenę - powiedziała Cecilia. - Znów będziesz dla niego zawodzić?

- Oby nie. - Nadal śpiew i występy publiczne budziły w niej grozę, ale Lance rzeczywiście przywoływał ją na scenę.

Podeszła do niego.

- Tylko nie każ mi śpiewać.

Lance z uśmiechem pokręcił głową. Ktoś przyniósł krzesło. Spojrzała na Lance'a pytająco.

- Usiądź, McKenzie.

- Co to ma znaczyć? - zapytała, widząc, że przestał się uśmiechać i wyglądał na zdenerwowanego. - Lance?

- Usiądź.

Usiadła i w tym samym momencie rozbrzmiała muzyka. Uśmiechnęła się, słysząc znajome dźwięki. Wszyscy wykonawcy wyszli na scenę i zaczęli śpiewać. Lance stał przed McKenzie i wpatrywał się w nią z miłością. Gdy utwór się skończył, wstała

i dała mu buziaka.

Widzowie przyjęli to owacją.

Lance znów poprosił, by usiadła. A potem z uśmiechem ukląkł przed nią.

- McKenzie, rok temu na tej samej imprezie uratowałaś burmistrzowi życie. I nieświadomie uratowałaś też moje.

Oczy zaszyły jej mgłą. Niemożliwe, że on to robi. To naprawdę się dzieje.

- To był najlepszy rok mojego życia, bo przeżyłem go z tobą. Pomogłaś mi odnaleźć siebie, rozliczyć się z przeszłością i zacząć wszystko na nowo.

- Lance - wyszeptala. Ujął jej drżącą dłoń.

- Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Nie musisz - zapewniła.

- Chcę to mieć oficjalnie, na piśmie - zażartował, a publiczność przyjęła to śmiechem. - McKenzie, zrobisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Popatrzyła w oczy Lance'a. To on pokazał jej, co to znaczy kochać i być kochaną. Miłość ją przepelniała.

- Tak. - Kiwnęła głową i patrzyła, jak Lance wsuwa jej na palec pierścionek z brylantem. Ucałował jej palce.

- Kocham cię, McKenzie.

- Ja ciebie też, Lance.

Pomógł jej się podnieść, pocałował ją. Kurtyna opadła, oddzielając ich od bijącej brawa widowni.

- Wesółch świąt, McKenzie.

- Najweselszych.

Tytuł oryginału: It Started at Christmas
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2016
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2016 by Janice Lynn
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Medical są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-3381-1

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Epilog
Strona redakcyjna